NOWE FORMY
UNJI KOŚCIELNEJ
W POLSCE

(DYSKUSJA W „SŁOWIE“)

SŁONIM 1932

NOWE FORMY
UNJI KOŚCIELNEJ
W POLSCE

(DYSKUSJA W „SŁOWIE“)

Fr. Vladimir Tarasevitch, O.B.

SŁONIM, 1932

NAKŁADEM GRUPY ZIEMIAN

POLSKA DRUKARNIA „LUX“, WILNO, PORTOWA Nr. 7

Sprawa Unji Kościelnej staje się coraz bardziej aktualna. Straszliwy upadek schizmatyckiej Rosji i zarysowujące się przy jej przyszłem odrodzeniu możliwości zdobycia dla Kościoła katolickiego zbłąkanych dusz rosyjskich — z jednej strony, — konieczność zaopiekowania się na ziemiach polskich ex-unitami, przed wiekiem oderwanymi od Kościoła, — z drugiej strony, — sprawiły, iż myśl o zjednoczeniu Kościołów nabiera wyjątkowej siły.

Wiemy, z jaką troskliwością i miłością spogląda na naród rosyjski Ojciec św., pragnący mu wskazać jedynie właściwą i skuteczną drogę do wyzwolenia. Wyrazem tej troski o dusze Rosjan jest zorganizowana w Rzymie Komisja „Pro Russia", która kieruje całą akcją unijną.

Niestety, brak w tej Komisji przedstawicieli Polski oraz zdecydowanie wrogi Polakom stosunek niektórych wpływowych członków tej Komisji, a przedewszystkiem doktrynerska, nie licząca się z rzeczywistością działalność misyjna niektórych organizatorów ruchu unijnego w Polsce, — wszystko to sprawiło, iż wzniosła idea Unji została wypaczona, gdy przyszło do jej realizacji na terenie państwa polskiego.

Do pracy na naszych ziemiach stanęli ludzie, nie znający ludu, wśród którego działają, nie orjentujący się w doświadczeniach naszej przeszłości oraz nie liczący się ani z interesem państwowym Polski, ani z psychiką „nawracanych”.

Nieodpowiedni dobór kapłanów, fatalne błędy, popełniane przez nich, oraz zdecydowanie rusyfikatorski charakter akcji — wciąż wywołują zgodne protesty i zastrzeżenia ludzi, reprezentujących różne wyznania i narodowości i znajdujących się nieraz w przeciwnych obozach społecznych i politycznych.

Niniejszy wybór artykułów, drukowanych w „Słowie”, dość dokładnie zarysowuje stosunek społeczeństwa do t. zw. „obrządku wschodniego”, zawierając głosy: katolików (księży i laików), prawosławnych (również — duchownych i świeckich), kapłanów unickich: grecko-katolickich oraz przedstawiciela obrządku wschodniego.

Z wielkiej ilości artykułów, drukowanych w „Słowie”, wybieramy tylko bardziej zasadnicze, aby w ten sposób zwrócić uwagę szerokiego ogółu społeczeństwa na niezwykle ważne zagadnienie akcji unijnej w Polsce i dać pojęcie o stanie rzeczy.

Społeczeństwo polskie musi mieć zdecydowany i uzasadniony sąd o tej akcji.

Przyczynić się do wyrobienia takiego sądu pragną wydawcy niniejszej broszurki, kierujący się myślą o wielkości zadań Kościoła katolickiego i troską o spokój i potęgę naszej Ojczyzny.

ROMAN SKIRMUNTT

ZAWIŁE ZAGADNIENIE

Wielka i twórcza była ongi myśl unji kościelnej, posiada ona w swych dziejach niejedną chlubną kartę. Bodajże dla Rzeczypospolitej była pożyteczna, wyzwoliła z pod bezpośrednich wpływów Moskwy, w ostatnich dwóch wiekach istnienia przedrozbiorowego, całe zastępy duchowieństwa i miljony ludności. Na zyskanie ich dla obrządku łacińskiego, co byłoby lepsze, zabrakło wonczas siły i przenikliwości.

Wszakże w dobie ciężkich dziejowych doświadczeń skruszyła się piękna budowa unji kościelnej. Niemile widziana przez rząd polski, część duchowieństwa katolickiego i, co szczególnie podkreślić należy, nienawidziana przez Rosję i Cerkiew moskiewską a w dobie porozbiorowej niemiłosiernie ścigana, zdradzona w dodatku przez własnych pasterzy—załamała się, nie ostała pod naciskiem sił wrogich i zdrady wewnętrznej.

Zważona na szalach dziejów, okazała się mniej mającą siły.

Myśl unji kościelnej odżyła z wielką siłą po wskrzeszeniu Rzeczypospolitej, jako też na widok fermentu, jaki ogarnął Cerkiew prawosławną, pozbawioną starej opieki rządowej, z którą się zżyła, a prześladowanej i poniewieranej przez nowych władców bolszewickich. Cerkiew, osłabiona rozterkami wewnętrznemi, pozbawiona dawnych filarów, może byłaby skłonna pomyśleć o przebudowie, o naprawie rozłamu, dokonanego ongi pod opieką despotów bizantyjskich a w późniejszych stuleciach pielęgnowanego przez

rosyjskich. Nic dziwnego, że chwila taka została poczytana przez miarodajne czynniki Kościoła katolickiego za odpowiednią dla wskrzeszenia wielkiego dzieła minionych stuleci. Cerkiew moskiewska nękana, osłabiona, jakżeby nie miała szukać uzdrowienia w nawiązaniu łączności z Zachodem, przeniewierczo starganej w przeszłości? Unja kościelna istniała u nas za czasów przedrozbiorowych Rzeczypospolitej, nawet przetrwała ją o kilka lat dziesiątków. Jakżeby nie miała zmartwychwstać razem z jej wskrzeszeniem? Pewno wszyscy tego pragną.

Gdy urzeczywistnienie marzeń okazało się prawie beznadziejne, stokroć trudniejsze niż się to zapalonym zwolennikom wielkiej myśli zdawało, zaczęto szukać przyczyny niepowodzenia. Znaleźli ją!—przedstawiciele duchowieństwa katolickiego, ukraińscy i białoruscy. Niepowodzeniu była winna... niechęć Polski do unji!

Gorliwi, zapaleni, ruchliwi zdołali tę — bodaj błędną — teorję rozpowszechnić w szerokich kołach katolickich na zachodzie. Niechęć do unji „c'est le point de vue polonais", to punkt widzenia Polski, ustaliło się tam mniemanie.

Nie! Wolno odpowiedzieć, uprzedzając dalsze rozważania, to punkt widzenia rdzennie moskiewski, skrystalizowany i skamieniały w ciągu wieków.

Czemu, w czem Polska unji przeszkadza? Dwa tu główne, podobno, działają czynniki.

1. Polska jest niechętna unji ze względów politycznych.

2. Rosja nie przyjmie apostolstwa z rąk swego wielowiekowego spółzawodnika dziejowego. Natomiast przyjęłaby je chętnie z rąk pobratymczych Ukraińców lub Białorusinów, powołanych, jakby urodzonych do tej pracy apostolskiej.

Błędne przesłanki do błędnych wiodą wniosków,

wikłając beznadziejnie zawiłe zagadnienie. Zły jest przyjaciel zaślepiony. Trzeźwy pogląd na sprawę lub człowieka nie jest dowodem nieprzyjaźni. Nieufność Polski do zagadnienia unickiego ma swe źródło w doświadczeniu dziejowem. Nikomu nie jest lepiej znana niechęć, przerosła w nienawiść, jaką żywi duchowieństwo prawosławne i inteligencja rosyjska do unji. Niepomny nakazów Chrystusowych człowiek nie pokocha swego przeciwnika. Odszczepieńca, zdrajcę nienawidzi całą siłą.

Cerkiew moskiewska widziała stale w katolicyzmie swego groźnego przeciwnika, lecz w pewnym stopniu nie mogła mu odmówić prawa bytu, chcący niechcący godziła się z jego istnieniem. Natomiast w unji, której powstanie znacznie uszczupliło zakres jej wpływów, widziała zdradę i odszczepieństwo, wyrodka, metysa, nie mającego prawa do życia.

Jeśli prześladowanie Polaków i Kościoła katolickiego wywoływało, w lepszych środowiskach inteligencji rosyjskiej, pewien sprzeciw (zresztą skromny i powściągliwy), to drakońskie zarządzenia Mikołaja I i Aleksandra II, skierowane przeciw unji, zyskiwały poklask ogólny. W jej oczach Kościół katolicki był zawsze otwartym przeciwnikiem, Kościół unicki zdradliwym i podstępnym zaprzańcem. Z siłą tego przesądu historycznego należy się liczyć. Dowody jej posiadamy aż do czasów najnowszych.

Gdy wojska rosyjskie w 14-tym i 15 roku zajmowały Galicję, nikt z przedstawicieli wyższego duchowieństwa katolickiego nie doznał rózgi szczególnego gniewu najeźdzcy. Natomiast unicki metropolita Szeptycki został porwany i zesłany w głąb Rosji. I nie za polonofilskie uczucia przecierpiał on to prześladowanie, jeno jako głowa nienawistnej dla serca rosyjskiego instytucji.

Na piśmie przyjaznem, z tych samych czasów,

jednego z wysokich dostojników Kościoła unickiego, car Mikołaj II miał położyć adnotację „Wot mierzawiec", krótko i węzłowato. I znowu — nie treść pojednawcza pisma była powodem tych słów nieuprzejmych, lecz stanowisko autora w hierarchji nieuznawanego przez Rosję Kościoła.

Znamienne dla poglądów na unję inteligencji rosyjskiej były słowa jednego z bardzo liberalnych polityków rosyjskich, członka dumy państwowej Aleksandra Stachowicza, powiedziane w rozmowie z p. X. Było to w miodowych chwilach upojenia polsko-rosyjską przyjaźnią. Mówił on z głębokiem przekonaniem o zupełnej tolerancji, jaką Rosjanie wobec Polaków w Galicji przestrzegać winni i niewątpliwie będą. Wszakże wzburzył się na wzmiankę Iksa o unji...

— Nie, zawołał — unja? To coś przeciwnego zdrowym zmysłom. Rozumiem katolicyzm, ale unja to niedorzeczność, ona cierpiana być nie może.

Ten sam Iks na naradzie państwowej w Moskwie w r. 1917 rozmawiał z księdzem Sipiaginem o możliwości zjednoczenia Kościołów. Sipiagin był posłem do 1-ej dumy państwowej i członkiem partji kadetów. W wieku dojrzałym, porzuciwszy karjerę polityczną, udał się na studja teologiczne do Insbruku i został księdzem katolickim.

On propagandę unji w Rosji uważał za rzecz beznadziejną. Zniesławiona, zdyskredytowana nie posiada dla Rosjanina tej siły przyciągającej, którą w wielu wypadkach mieć może Kościół rzymsko-katolicki. Tylko katolicyzm w obrządku zachodnim może mieć w Rosji powodzenie.

Tyle o przychylnem usposobieniu Rosjan dla unji. Teraz druga sprawa.

Niewątpliwie w dobrej wierze część katolickiego duchowieństwa narodowości ukraińskiej lub białoruskiej uważa siebie za powołaną do wykonania szczyt-

nego posłannictwa zjednoczenia Kościołów. Ta pozornie do prawdy podobna teorja znajduje łatwo zwolenników śród ludzi, nie znających zawiłych zagadnień narodowościowych na rubieżach kultury zachodniej i rosyjsko-bizantyjskiej. Rozpatrywanie zagadnień narodowościowych nie leży w zakresie niniejszych uwag. Stwierdzić jedno należy, że w oczach Rosjanina dążność Białorusinów lub Ukraińców do stworzenia samoistnej narodowości jest zdradą i odszczepieństwem. Jak Cerkiew prawosławna godzi się z istnieniem Kościoła rzymsko - katolickiego a odmawia prawa bytu unji, tak Rosjanin z punktu widzenia politycznego nie może zaprzeczyć tego samego prawa Polakowi, natomiast w narodowcu Białorusinie lub Ukraińcu widzi tylko zdrajcę w najsprośniejszej postaci. To Shylock, który pragnie dokonać zbrodniczego cięcia na żywem ciele jego.

Generał Denikin w najcięższych chwilach walki swojej z bolszewikami, wyglądający jak zmiłowania Bożego pomocy ententy, krwią broczący w nierównym boju, odmawiał wszelkiego współdziałania z Ukrainą i innymi separatystami, nie uznającymi hasła wielkiej Rosji niepodzielnej.

Wolał ginąć, niż kalać dłoń sojuszem z niewiernymi. To stanowisko niewątpliwie odpowiadało nastrojom większości inteligencji rosyjskiej, patrzącej z naiwnem zdumieniem na odśrodkowe dążności inowierców i inoplemieńców a z nieprzebłaganą zaciętością na takie same zakusy narodowości w większości swej tego samego, co Moskwa, wyznania, a mówiącej pokrewnym językiem.

Dlatego — błędem głównym jest mniemanie, że Rosjanin mile przyjmie apostolstwo unity Białorusina lub Ukraińca, obarczonego w oczach jego podwójnym grzechem śmiertelnego wiarołomstwa: wyznaniowego i narodowego.

Jak się przedstawia sprawa unji na ziemiach wschodnich Rzeczypospolitej polskiej? Nieco odmiennie.

Tutaj posiada ona garstkę zwolenników, szczupłą wprawdzie — zato ruchliwą. Prawdzie śmiało w oczy patrzyć winien kto zawiłe zagadnienie należycie zrozumieć pragnie, bez uprzedzeń niechęci, ale też bez urojeń przychylnictwa.

Dobrze czy źle — dzieje nadały na ziemiach tych (północnych i środkowych, Białorusi, Polesiu) Kościołowi katolickiemu szczególny charakter. Junctim było hasłem wojującej polityki rusyfikacyjnej w kraju naszym w ciągu ubiegłego stulecia, junctim, przeciwko katolicyzmowi i polskości! Pod młotem prześladowań oba te pojęcia spoiły się w jedno. Katolicyzm stał się synoninem polskości, jak prawosławie — rosyjskości. Lud do dziś dnia nazywa w wielu wypadkach jedno wyznanie „polską wiarą”, drugie—„ruską wiarą”. W wyniku tego Poleszuk lub Białorusin bywa skłonny do następujących wniosków: „ja Polak, bo jestem polskiej wiary” lub „ja Ruski, bo jestem ruskiej wiary”. W roku 1928 w powiecie P. maturzyści miejscowego gimnazjum rosyjskiego, po ukończeniu roku szkolnego, udali się pod wodzą starszyzny na wycieczkę w okolice katolickiej wsi H.

— Kto wy tacy?—spytał ktoś z tego grona spotkanych przygodnie dwu rdzennych Poleszuków, mieszkańców tejże wsi katolickiej.

— My Polaki — brzmiała odpowiedź. Urażona przykrem dla jej uszu dźwiękiem tych słów, wesoła drużyna obiła niefortunnych przechodniów.

Można się nie dziwić, że istnienie takich pojęć jest niemiłe dla — nielicznej zresztą nacjonalistycznie usposobionej inteligencji białoruskiej, zaczynając od osób stanu duchowego, kończąc na bezwyznaniowcach. Z natury rzeczy z ich szeregu wychodzą najgorliwsi

zwolennicy unji. Oniby pragnęli zapomocą unji zbudować swój Kościół narodowy, odgrodzony od katolickiego, zbyt ściśle, w ich pojęciu, spojonego z polskością. Jeno rojenie to żadnego śród ludu nie wywołuje oddźwięku lub tylko nikły bardzo. Ludność katolicka, którąby do unji zachęcano, nie rozumie pocoby się z prawosławiem unifikować miała. Ona zresztą wie, że droga od unji do schizmy, bywa krótka. Ludność prawosławna jest wychowana w niechęci ku niej przez szkołę rosyjską. Krzewienie jej spotyka trudności na każdym kroku, propaganda dogmatyczna bywa żmudna i trudna. Solenne nabożeństwa propagandowe, mimo całą ich świetność i ukraińskie kazania na obcej ziemi, nie wywołują pożądanego wrażenia. Nie wdając się w krytyczną ocenę uczuć, stwierdzić należy, że ludność katolicka patrzy na nie z niechęcią i bólem.

— Co to jest, co to znaczy? pytają, szukając napróżno zrozumiałej dla siebie odpowiedzi.

Ludność prawosławna widzi w nich szopkę, maskowe występy gościnne.

— „Koli nie pop, nie odiewajsia w rizu"—mówią, zgodnie z rosyjskiem przysłowiem, patrząc na duchownych Kościoła katolickiego, odzianych w złociste szaty wschodnie.

Tylko w wyjątkowych wypadkach spotykamy zwolenników unji śród ludu. Przystępując do nich, należy wszakże pamiętać, że w pewnych wypadkach od przyjaciół naszych wzywamy ochrony niebios. Bywają nimi nowinkarze, żądni zamętu a obojętni dla spraw Kościoła wogóle. Przed paru laty w miejscowości P. zrobił się rumor, wieś prawosławna zapragnęła jakoby przejścia na unję. Jakie było zdziwienie osób, świadomych miejscowych stosunków, gdy na czele ruchu ujrzeli wszystkich — zresztą na szczęście u nas bardzo jeszcze nielicznych — zdeklarowanych

„bezbożników". Nabożeństwo unickie za ich staraniem odbyło się we wsi owej, może bez szkody jakowejś, lecz i bez wszelkiego pożytku. Zabiegi były wywołane między innemi i chęcią dokuczenia miejscowemu duchowieństwu prawosławnemu.

Niechęć do miejscowego „świaszczennika" bywa najpospolitszym motywem, rzadkiego zresztą śród ludu, pożądania unji.

— „Pozbawimy go chleba, a prawosławnymi pozostaniemy" rozumieją ci neounici. Pewność i pożytek z podobnej owczarni bywa niewielki.

Ci, którym świta wyższość Kościoła katolickiego, przyjmują jego obrządek bez płaszcza unji.

Z barwnej bańki własnych marzeń patrzą na świat ci, którzy roją o jakowejś szczególnej przychylności unji ludności ziem naszych. Tej przychylności niema.

Z zamierzchłej przeszłości błyskają nam krzyże z podniesionej dłoni św. Jozefata i bł. Andrzeja Boboli, apostołów unji. O pierwszym wiedzą tylko znawcy dziejów, o drugim w pewnych okolicach lud tylko mgliste posiada pojęcie.

Z bliższej straszą szkaradne oblicza Siemaszki, Łużyńskiego i Zubki, zdrajców unji.

W świeżej pamięci żyją wspomnienia przykrych doświadczeń z czasów wojny z duchowieństwem unickiem i jego owczarniami w Małopolsce wschodniej. Jedna zła owieczka nie stanowi o stadzie, lecz złych było wiele.

— „Unja znikła z kraju naszego bez śladu—powiedział kiedyś Woyniłłowicz — placówki katolickie przetrwały burze lub w gorszych wypadkach pozostawiły po sobie piękne tradycje".

Na opoce stał i stoi Kościół katolicki w kraju naszym, na gruncie chwiejnym budujemy, budując unję,—lub na piaskach lotnych.

II.

O wszechświatowem posłannictwie Kościoła Chrystusowego pamiętać winniśmy, gdy rozważamy pojedyńcze etapy jego działalności.

Kościół ten dla pomyślności duchowej człowieczeństwa do życia powołany został. On się rozwija i pracuje wśród ludzi i dla nich, on się ustosunkowuje do ich potrzeb i pojęć do spraw narodowych i państwowych. Odpowiednio do swego powołania współpracuje z państwem, współdziała kulturalnemu rozwojowi ludów, zżywa się, zrasta z narodami w wiekowej współpracy, dzieli z nimi dolę i niedolę. Umiłowany i uznawany bywa, jakby swój własny, poniekąd narodowy — on wszechświatowy Słowa orędownik.

Odrębny jest, w pewnym stopniu, zakres działalności państwowej, odrębny kościelnej, wszakże są dziedziny, w których się porusza sprawy wspólne, zazębia się, wzajemnie na siebie oddziaływa. W tych wypadkach konieczne bywa porozumienie, uzgodnienie, zabezpieczające prawa i potrzeby stron obu. Nad rozwiązaniem zagadnień, w których sprawy państwowe i kościelne są powikłane, winno pracować wspólnie duchowieństwo i obywatele świeccy.

Odmawianie prawa głosu w podobnych sprawach jednej lub drugiej stronie jest błędem zasadniczym i dodatnich wyników nie da; rozum polityczny podobne metody odrzucić winien. Nikt sobie odebrać tego prawa nie pozwoli.

Wielka jest myśl, olbrzymie zagadnienie zjednoczenia Cerkwi rosyjskiej z Kościołem powszechnym. Myśl, która je poczyna, w przyszłość daleką wzrokiem sięga i w przeszłość wieków patrzeć umieć winna, ogarnia lądy odległe, różnorodne stosunki i warunki bytu, pojęcia i tradycje. Trudno nam sądzić, jakie słowo dziś w Rosji rdzennej oddźwięk znajdzie, lub

na dalekiej Syberji lub hen za Amurem w Mandżurji, posiadającej poważne ośrodki wygnańczego ludu rosyjskiego. Sąd nasz o podobnych sprawach oględny i powściągliwy być winien.

Na głębokiem nieporozumieniu lub płytkim poglądzie oparty jest przesąd wielu działaczy katolickich zagranicą, jakoby myśl unji, szerzej pojęta, wsbudzała w Polsce niezrozumiałą niechęć.

Bliżsi sąsiedzi ziem, o które chodzi, znający lepiej ich ludność i jej skłonności, wyraźniej widzimy trudności, piętrzące się przed krzyżowym pochodem unijnym; żywa w nas bywa obawa, że marzenia, wynik pragnień serdecznych, w krainę złudy prowadzą. Obrazy ponętne, które sobie tworzy rozpłomieniona wyobraźnia, bywają niezgodne z rzeczywistością. Niech to nam nie przeszkadza sądzić życzliwie prace osób stanu duchownego, które z własnej woli lub na rozkaz władzy zwierzchnej — a ta usłuchana być musi — poświęcają swoją działalność wielkiej sprawie. Kto całokształt zagadnienia w jego rozległych rozgałęzieniach sądzić pragnie, winien zupełnie się poświęcić naukowemu ich zbadaniu, by się sąd jego w błędy dylentatyzmu nie uwikłał. Niech o tem stanowią ludzie, którzy całą swą zdolność umysłową badaniu sprawy poświęcili. Zagadkowe, cierniste są drogi, które prowadzą do wielkiego celu. Ufajmy światłym umysłom i dobrym zamierzeniom ludzi, którzy je badali i życzmy im powodzenia. Zdanie ich w tej sprawie wszechświatowej wagi do pewnego stopnia miarodajne być winno.

Takie być musi nasze stanowisko, gdy chodzi o zagadnienie unijne w całej jego objętości. Inaczej o niem mówić możemy, gdy się zamyka w ciasnych ramach naszej ziemi ojczystej. Gleba kraju własnego, jego szlaki i miedze, przeżycia przeszłości i nastroje obecne są nam dobrze znane. Tu jesteśmy w domu.

Doświadczenia unijne na ziemiach naszych posiadają charakter szczególnie zawiły i drażliwy. Komu dzieje ich są znane, ten prawdę tę uznać musi. Tu się od wieków spotyka i potyka kultura Zachodu ze wschodnią, to klasyczny grunt ich zmagań. W trzynastym i czternastym wieku dzielność i przezorność wielkich wodzów litewskich uchroniła kraje nasze od zalewu tatarskiego. Wielkie Księstwo Litewskie pod władcami pogańskimi trwało na rozdrożu, między wpływami Zachodu i Wschodu, przez okres stuletni. Kultura wschodnia, pod wpływem klęsk doznanych, wycofała swe placówki na wschód, ku równinom nadwołżańskim, tworząc tam ośrodek moskiewski, który w późniejszej dobie dziejów wykazał zdumiewającą siłę zaborczą.

Wiekopomny czyn Jagiełły, jednoczący w r. 1386 kraj nasz z Polską, naoścież otworzył wrota jego wpływom Kościoła katolickiego i kultury zachodniej. Niestety, nie posiadaliśmy od wschodu murów granicznych w kształcie nieprzebytych pasm gór, któreby nas chroniły przed zachłannością groźnego sąsiada. W ciągu wielowiekowego istnienia państwa litewsko-polskiego kraje nasze stały się polem walki przewlekłej, ciężkiej, krwawej, z wzrastającą siłą Moskwy, nowego ośrodka prawosławia i bizantyjsko-azjatyckiej kultury. Potykały się dwie potęgi o rysach ostrych, wyraźnych: katolicka Polska z prawosławną Rosją.

Przymiotnik i rzeczownik zlały się w umysłach ludności w jedno nierozdzielne pojęcie, dzieje zapisały je krwią lub ognistemi zgłoskami. Pismo krwi i ognia trwa w ludzkiej pamięci z pokolenia w pokolenie — aere perennius.

„All history is bunk”, historja to furda — powiada H. Ford. Zdarza się i mądrym ludziom prawić niedorzeczności. Nawet jego ojczyzna, Stany Zjedno-

czone,—nowobogacki wśród mocarstw, posiadają tradycje historyczne. Na miarę lat skrojone życie człowieka, na miarę wieków—narodów. Historja—to życiorys narodów, błędy przeszłości—to jej znaki ostrzegawcze, czyny mądrości i dzielności przodków—jej drogowskazy, ona utrwala w nas pewne pojęcia i poglądy, z niej czerpiemy doświadczenie. Doświadczenie to dobry nauczyciel, a choć uczeń zazwyczaj bywa tępy, jednak pewne wnioski z niego wysnuwa.

Póki istnieją dwa potężne ośrodki — choć nierównej wartości wewnętrznej — o wielkiej sile przyciągającej, dwoista budowa Kościoła unickiego chwiejną pozostanie. Rzym jest daleko, Moskwa blisko, bliższemu ośrodkowi prawo ciążenia przewagę dawać zwykło. O chwiejności tej świadczą dzieje od XVI wieku, aż do dotkliwych doświadczeń z przed stu lat na ziemiach Litwy i Białej Rusi i sromotnych w Małopolsce wschodniej, z czasów wielkiej wojny. Dwoistość powodowała chwiejność i zamęt nawet w umysłach wyszkolonych wyższych hierarchów unijnych, a dla ludu, który ją zna tylko z mglistych tradycyj, pozostaje niezrozumiałą. Obrządek wschodni jest dlań znakiem widomym Kościoła prawosławnego — rosyjskiego, uświęcenie go przez Kościół katolicki —kapitulacją przed obu temi potęgami lub zagadkowym jakimś wybiegiem.

Wprowadzenie obrządku rosyjskiego, na ziemiach naszych, do Kościoła, wzmaga znakomicie znaczenie tego żywiołu w naszym domu. Jest to szkodliwe z punktu widzenia państwowego, dla Kościoła zaś, conajmniej wątpliwym pożytkiem jest sztuczne przesuwanie granicy wpływów wschodnich na zachód, na jego niekorzyść. Do pracy tej zjeżdżają do nas, jak na Sumatrę lub Borneo, misjonarze z Francji, Holandji i Flamandji, wpatrzeni we wskazany cel podniosły jednania zwolenników zjednoczenia, ale kroczący bo-

daj błędnemi drogami, obojętni do pewnego stopnia na głos dziejów naszych, na doświadczenia, wskazówki, na to, co nas boli i co nam szkodzi.

Uznanie władzy kościelnej Ojca św. — niestety często tylko na słowach — nie zmienia rdzenia charakteru Rosjanina i jego na ościenne ludy poglądów. Zarozumiałość, wpojona przez dzieje, tylko lekko złagodzona zostaje. Tkwi w nim dumny obszarnik na dwudziestu miljonach kilometrów kwadratowych, urodzony władca i srogi łaskawca — niemiły ościennym ludom jak powietrze, głód i tym podobne szczęśliwości. Z przekąsem wspomina Polskę w swej broszurze „O russkoj katoliczeskoj Cerkwi" arystokratyczny przedstawiciel grupy Rosjan, uznających władzę Papieża, książę P. M. Wołkonskij, z jadem na ustach mówił o niej ksiądz Kołpinskij w otwartym liście pożegnalnym, opuszczając Polskę, w drodze do Charbina. Im kością w gardle stoi niezależność nasza, jak hakatystom z nad Sprei, nie mogą zapomnieć, że po rozbiorach byli panami ziemi naszej, która nigdy przedtem w ciągu dziejów w żadnej zależności od Moskwy nie zostawała. Mieć się na baczności wobec podobnych żywiołów, to nakaz zasadniczy instynktu samozachowawczego.

III.

Przeprowadźmy pewną analogję hipotetyczną, by sobie lepiej wyjaśnić nastroje miejscowe wobec zawiłego zagadnienia.

Ostre i głębokie były przeciwieństwa narodowo-wyznaniowe do chwili t. zw. emancypacji katolików w roku 1829 na ziemiach Wielkiej Brytanji i Irlandji. Tradycja ich nie wygasła aż do najnowszych czasów. Gdy Irlandja uzyskała po wojnie dominjalną niezależność, północna jej część — nasycony duchem anglo-

protestanckim Ulster oderwał się od macierzy, utrzymując milszy mu związek z Anglją. Irlandczycy to naród porywczy, zapalny, przywykły walczyć w sprawach narodowych bronią o znacznie szkodliwszem ostrzu jak pióro, większej sile wybuchowej niż kałamarz. Gdyby miarodajne sfery Kościoła umyśliły w chwili obecnej zapoczątkować w Irlandji akcję misyjną dla nawrócenia Ulsteru i Anglji, a w celu łatwiejszego pozyskania odszczepieńców, wprowadziły tam nowy obrządek anglikański, rozpoczynając krzewienie jego na narodowo zagrożonych północnych rubieżach Irlandji... wolno przypuszczać, że wywołałoby to żywiołowy sprzeciw Irlandczyków, groźny, jak wybuch Krakatoa lub ostatnie trzęsienie ziemi italskiej — zachwiałyby się niejedne mury, nastąpiłby rozlew cenniejszego, niż atrament płynu. Komu irlandzkie stosunki i nastroje nie są zupełnie obce, ten wymowę tego porównania odczuć zdoła. Albo wyobraźmy sobie groźny rumor, jakiby powstał w Italji faszystowskiej, gdyby Kościół umyślił w ten lub inny sposób spółdziałać niemieckiemu risorgi mento w dzisiejszym Tyrolu włoskim. Jakby zawrzał naród francuski, gdyby w Alzacji wprowadzono pewne szczególne niemieckie nabożeństwa, rozpowszechniano modlitewniki niemieckie, ad captandum benevolentiam Germaniae? My przyjmujemy podobne sprawy z odpowiednim spokojem i niewolno nam wkraczać na manowce nieprzyjaznych przeciwieństw z powagami Kościoła, wszakże zastrzeżenia swoje wypowiadać winniśmy, a głos obywatela świeckiego, choćby pozbawiony wtóru niemiłego szczęku, także na uwagę zasługuje.

Jeśli poczynania unijne na ziemiach naszych wywołują szereg zastrzeżeń, to na akcję wobec wielkiej Rosji, czyli szerzej pojętą należy patrzeć z pełnem i zupełnem współczuciem. Powodzenie jej zbliżyłoby

ten naród z Europą, ułatwiłoby usunięcie szeregu nieporozumień i kamieni obrazy odwiecznych. Jeno złudzieby ulegał, ktoby wierzył w szybki i pomyślny rozwój wypadków.

Na błędny tor był nastawiony rozum Siemaszki, wszakże przenikliwości i bystrości odmówić mu nie można. Usuwanie „łacińskich naleciałości" z nabożeństwa unickiego przeprowadzał jakoby dla przywrócenia mu pierwotnej właściwej formy, w gruncie rzeczy, by je zrównać w oczach ludu z nabożeństwem prawosławnem, by żadnej w nich różnicy dojrzeć nie umiał. Teorja srogiego i wrogiego statysty znalazła zastosowanie przy zamierzonej odbudowie wschodniego Kościoła za dni naszych. Nabożeństwo w nowej formie nie jest starem, unickiem; jest ono w granicach możliwości kopją rosyjsko - prawosławnego. Forma obrządku jest tak ujęta, że zmiana treści jego, dla przeciętnego laika, zostaje niedostrzegalna. Obosieczna to metoda, ułatwiająca zwrot ku Zachodowi i odwrót.

Podobne postawienie sprawy jest niewątpliwie ponętne dla szczupłej grupy na szczytach emigranckiej inteligencji rosyjskiej, która znalazła upragnioną przystań dla skołatanej myśli w zjednoczeniu z Rzymem. Mile brzmią jej głosy w Rzymie, jeno w Moskwie nikt ich nie słyszy i bodaj słyszeć nie pragnie. Grupa ta jest niestety szczupła i pozbawiona wszelkich wpływów na Rosję. Miarodajny głos w tych sprawach posiadają ludzie o zgoła odmiennym światopoglądzie, żelaźni wrogowie Kościoła powszechnego, przeniknięci rdzą nienawiści do Zachodu i jego kultury. Myśl Zachodu pozostanie im obcą, choćby ubrana w najautentyczniejsze szaty wschodnie. To stara szkoła świątobliwego synodu z epoki jaskiniowej... czy też przedwojennej.

Cerkiew prawosławna wykonywa swobodnie swój

obrządek według własnego uznania i upodobanych wzorów i niestety do potwierdzenia ich przez Kościół katolicki szczególnej wagi nie przywiązuje. Nie wzrusza się obdarzony, gdy go ofiarodawca obdarza jego bezsprzeczną własnością. Zresztą rdzeń sporu nie w zewnętrznych formach tkwi ukryty, lecz w osnowach Cerkwi rosyjskiej. Zwróćmy się znowu do pomocy porównania, by to sobie należycie uprzytomnić.

Gdyby Polska była znacznie jeszcze potężniejszą niż nią jest obecnie, i w ten sposób umyśliła przemówić do swego sąsiada ze wschodu:

„Pełni jesteśmy dobrych dla was uczuć, bośmy braćmi—choć od wieków poważnieni—czas już usunąć stare nieporozumienia. Światem wrogów jesteśmy otoczeni my i wy. Z zachodu zagraża nam potęga germańska, która za dziejowe swe posłannictwo poczytuje ujarzmianie Słowian i rozszerzanie ich kosztem sfery swoich wpływów na wschód. Na wschodzie dalekim świat mongolski groźnie głowę podniósł. Tylko zjednoczone siły nasze wrogim mocom sprostać zdołają. Niech więc wybije godzina pojednania.

„Chcąc dać dowód naszej względem was przyjaźni, stwierdzamy: nie mamy żadnej pretensji do Moskwy z całym jej obszarem rdzennych ziem rosyjskich, ofiarowujemy ją wam i uznajemy za waszą własność bezsprzeczną. Jest to dar wielki i wspaniałomyślny, nikt chyba temu nie zechce zaprzeczyć. W zamian za to i wy będziecie musieli uczynić pewne ustępstwa. Widzimy pewne wady i błędy w waszym ustroju państwowym i narodowym, te będziecie musieli poprawić, o tem pomówimy. Również uznacie Polski pierwszeństwo i zwierzchnią władzę, jako zasadniczy nieodzowny warunek wszelkiego porozumienia”.

Wątpić wolno, czy podobny program wywołałby życzliwy oddźwięk w umysłach rosyjskich mężów stanu.

Pycha cesarzów bizantyjskich i ich nadwornych patrjarchów była bodaj źródłem rozłamu w odległej przeszłości, nie chcieli oni uznać wyższości następców Piotra św. Tradycja ta przetrwała wieki, wżarła się w naukę, zasady, w cały światopogląd hierarchów prawosławnych. Obecne ich pokolenie, skostniałe w tej niechęci, nie zdoła wyłamać się z pod jarzma wielowiekowych przesądów. Na tym punkcie porozumienie zawsze było trudne i do dziś dnia pozostało najtrudniejszem.

Nie zdobędą ich serca zewnętrzne przemiany, nie uznają za brata księdza, ubranego w nieskazitelne szaty wschodnie, póki się on nie wyrzeknie — w ich oczach błędu głównego — posłuszeństwa zwierzchniej władzy Kościoła powszechnego — Ojcu św. W tem rdzeń sporu i treść główna rozłamu od wieków.

Formy, jakie u nas kościelna akcja wschodnia przyjmuje, wzbudzają niepokój i ciężkie wątpliwości.

Szczepienie ukrainizmu na ziemiach Rzeczypospolitej, polsko-białoruskich, obcych mu duchem i rozwojem historycznym, śród odmiennego szczepu ludności... Co to jest, dokąd dążymy, czy wszyscy wiedzą, co czynią? Idziemy, jakby za wskazówką geograficznej mapy niemieckiej, która kreśli granice Ukrainie poza Siedlce i Prużanę. Nieprzyjazna robota niemiecka jest w tym wypadku celowa i świadoma. Nie wspierajmy jej własną dobrodusznością.

Rusyfikacja Kościoła katolickiego na terenie krwawych wielowiekowych zmagań kultury zachodniej z wschodnią wygląda na niebezpieczną kapitulację. Z punktu widzenia państwowego, jest ciosem, przed którym społeczeństwo bronić się winno.

Siew, który wydać może plon pożądany na wschodzie dalszym lub dalekim, na ziemiach naszych zatrutym owocować będzie. Waśń wzmoże, nieufność, zamęt, nie pokój.

J. K-CKI

NIEOCZEKIWANA KROPKA NAD NIEWYRAŹNEM „I"

Nie chcielibyśmy być źle zrozumiani. Nie chcemy zwalczać ruchu misyjnego, zdążającego do zjednoczenia z Kościołem katolickim prawosławnych. Akcję w tym kierunku, zaleconą przez Stolicę Apostolską, uważamy za konieczną i nie chcemy podporządkowywać spraw Kościoła sprawom państwowym czy narodowym. Nie zgadzamy się jednak z pewnemi metodami pracy unijnej u nas i uważamy, że przygotowując się do pracy w Rosji, nie należy stwarzać sztucznej i fikcyjnej Rosji w Polsce, gdzie Rosji niema. Obecny stan niesłychanego chaosu, panującego w akcji misyjnej, dezorjentuje wszystkich i nasuwa najpoważniejsze zastrzeżenia.

Nie chcemy polemizować z samą myślą tworzenia nowego obrządku wschodniego, mającego na celu pojednanie prawosławnych z Kościołem rzymskim, lecz Wschód w tym nowym obrządku jest tak stuprocentowo moskiewski, że każdy aż się żachnąć musi! Kapłani nagwałt udają popów moskiewskich, do ludu białoruskiego i polskiego przemawiają prawie wyłącznie po rosyjsku, wszystkim tłumaczą, że są oni „prawosławnymi, uznającymi papieża"...

Moskiewskie szydło zbyt często wyłaziło z misjonarskiego worka, szczególnie, gdy misjonarzami byli cudzoziemcy, i na tem tle powstawały na prowincji ciągłe nieporozumienia, gdyż ludność miejscowa, a więc nie rosyjska, przyjmując obrządek, nie chce zmieniać narodowości; ci zaś, co pragną pozostać przy wierze

ojców, tem bardziej nie życzą sobie moskwiczenia się.

Te pierwiastki rosyjskie w obrządku wschodnim uderzały niemile każdego przygodnego obserwatora i dezorjentowały. Skąd to i poco?...

Zjawisko to było tem ciekawsze, iż moskiewszczyznę zaszczepiali wiernym nie Rosjanie, lecz ludzie Rosji całkowicie obcy.

W Nr. 5 „Źródeł Mocy” (str. 146) przytoczony został ciekawy wypadek złożenia przez unickiego kapłana *Polaka*, podpisu *w języku rosyjskim* na adresie, przeznaczonym dla... Marszałka Piłsudskiego.

Było to jakby urzędowe stwierdzenie rosyjskości obrządku wschodniego!... Zdziwić to mogło tem bardziej, że nawet prawosławni duchowni, wśród których sporo jest Rosjan z krwi i kości, używają w korespondencji urzędowej języka polskiego!...

Cóż ma znaczyć rosyjskość „obrządku wschodniego”?...

Na to pytanie wyczerpującą i rozbrajająco szczerą odpowiedź daje artykuł Rosjanina, księdza Wiktora Rychtera, który ogłosił obszerne sprawozdanie o „rosyjsko-katolickim ruchu w Polsce”.

Sprawozdanie to zostało umieszczone w nowem religijnem czasopiśmie rosyjskiem p. t. „Błagowiest”, które zaczęło wychodzić w Paryżu w tym roku. („Błagowiest” — Bonne nouvelle — Nr. 1. Styczeń — Marzec 1930 r. Str. 137 i nast.).

Oto co tam czytamy (podkreślenia nasze):

„Gdy w lecie tego roku (t. j. 1929) zwiedziłem Polskę, poznałem życie *rosyjskich katolików*, zamieszkujących wschodnie tereny tego kraju przy granicy z Rosją. Dotychczas my, znajdując się tu, na Zachodzie, nie wiele wiedzieliśmy o *rosyjsko* - katolickim ruchu w Polsce. Coprawda, do nas dochodziły wieści,

otrzymawaliśmy listy od naszych *współrodaków*, którzy się przyłączyli do prawdziwego Kościoła Chrystusowego, ale wszystkie te wiadomości dotyczyły tylko poszczególnych zdarzeń z życia tego ruchu. Myśmy nie znali nawet ilości wszystkich *rosyjsko*-katolickich duchownych wschodniego (grecko-*rosyjskiego)* obrządku, nie mówiąc już o wszystkich wyznawcach. I jeżeli w chwili obecnej dane moje o ich ilości nie będą dość ścisłe, stanie się to tylko wskutek tego, że ilość *Rosjan*-katolików codziennie się zwiększa. Bóg Najwyższy zsyła swe łaski braciom naszym, którzy odpadli od prawdziwego Kościoła, i posługuje się tak duchownymi-Polakami, łacińskiego obrządku, jak i naszymi *Rosjanami*, grecko-*rosyjskiego* obrządku... Najchętniej wraca na łono Kościoła katolickiego prosty lud"...

Ze zdziwieniem szeroko otwieramy oczy...

Rosjanie-emigranci, przyjmujący katolicyzm, cieszą się z tego, że ich „współrodacy" w Polsce, prosty „rosyjski" lud, zamieszkujący tereny pograniczne, idzie ich śladem...

Cóż za wzruszająca sielanka! W Polsce jak za panowania ich cesarskich mości — mieszkają sami Rosjanie, zresztą niema Polski, jest siewiero-zapadnyj kraj!... Rosyjskie te tereny znajdują się w chwilowem posiadaniu Polski, lecz nie będą zmarnowane dla matuszki Rosji, bo nad tem czuwają Rosjanie-katolicy grecko-rosyjskiego obrządku.

Ojciec W. Rychter nie kryje się jednak z trudnościami, które spotyka na swej drodze *rosyjski* religijny ruch w Polsce:

„Wrogi stosunek do *Rosjanina*-katolika i wogóle do całego *naszego* ruchu pogłębia się wskutek tego, że nie całe polskie duchowieństwo stoi na wysokości skomplikowanych zadań bieżącej chwili"...

Nie trzeba jednak tracić nadziei na lepszą przyszłość, bo nieco otuchy dodać może wykaz parafij grecko-rosyjskiego obrządku: w diecezji wileńskiej jest ich—7, w pińskiej—8, w siedleckiej—8 i w łuckiej—5, ilość parafjan od 100 do 2000.

Dział informacyjny tegoż czasopisma nieco uzupełnia artykuł O. Rychtera, podając ścisłe dane, dotyczące rosyjskiego kleru katolickiego.

Dowiadujemy się, że w Rzymie istnieje Centralny Zarząd do spraw Rosjan-katolików pod przewodnictwem kardynała Sincero, że istnieją rosyjskie katolickie parafje w Rzymie (proboszcz O. Werigin), w Paryżu (O. Jewrejnow), w Lille (vacat), w Namurze—Belgja (O. Rychter), w Berlinie (O. Kuźmin-Karawajew), w Pradze (O. Żedenow).

Dalej się dowiadujemy, że dziewięciu księży-Rosjan nie ma parafij, czterech należy do zakonu jezuitów, dwaj są benedyktynami. (Wymienione są imiona i nazwiska oraz podane adresy).

Wreszcie osobna rubryka informuje nas o „duchownych *cudzoziemcach*, którzy przyjęli obrządek wschodni lub prowadzą nad nim badania".

W tej rubryce znajdujemy bliskich znajomych: pod adresem: „Wilno, Wielka 58" mieszkają dwaj „cudzoziemcy"—jezuici, z których jeden (Polak!) jest obecnie proboszczem „grecko-rosyjsko-katolickiej" cerkwi, przerobionej z kościoła po-augustjańskiego!...

Obok wykazu księży-cudzoziemców jest wiadomość o „siostrach, które przeszły na wschodni obrządek lub się interesują *rosyjskiemi* zakonnemi sprawami". Są takie siostry w Rzymie, są i w Wilnie (Piłsudskiego 22). W Wilnie znajdują się rosyjsko-katolickie jezuitki...

Co jeszcze dodać do tych informacyj? Chyba tylko to, że w Lublinie dwaj Rosjanie, księża Sipiagin

i Kryżanowskij kierują wychowaniem kandydatów do stanu duchownego obrządku rosyjsko-katolickiego...

Obraz, zarysowany w czasopiśmie „Błagowiest", wydawanem „za pozwoleniem władz duchownych", a więc niejako w urzędowym organie Rosjan-katolików, obraz ten jest tak jaskrawy, że nie wymaga żadnych komentarzy...

Na artykuł p. J. K-ckiego obszernie odpowiedział x. Jan Urban, zamieszczając w dwóch numerach „Słowa" (Nr. Nr. 105 i 107—1930 r.) art. p. t. „O akcję unijną na wschodzie Polski".

Ze względu na wyraźne zastrzeżenie Autora, który chce wydać swe artykuły w formie osobnej broszury, nie możemy podać odpowiedzi x. Urbana w całości.

Odsyłając szanownych Czytelników do wskazanych numerów „Słowa", zaznaczamy obecnie, iż x. Urban w swej odpowiedzi półżartem potraktował wszystkie przytoczone przez p. J. K. fakty, starając się wykazać bezpodstawność zarzutów pod adresem kapłanów obrządku wschodniego.

Między in. pisał:

Ale cóż to tak nie spodobało się autorowi w akcji unijnej?

Rażą go najpierw „egzotyczne postacie" kapłanów, pracujących w tej akcji, ich „nieco za efektowne metamorfozy", konkretnie mówiąc, ich „brody". Naprawdę jestem wprost zażenowany, że o takich głupstwach na łamach poważnego dziennika zmuszony jestem z kimś się rozprawiać. Autor „Kropki" robi mi wrażenie człowieka, który z zaścianka swego na świat Boży nie wyjrzał, o powszechności Kościoła katolickiego nie słyszał, historji misyj katolickich nie zna. Misjonarze katoliccy, przejęci myślą pozyskania wszystkich dla prawdziwej wiary, nie takie przechodzili metamorfozy, jak te, które autora tak gorszą. Francuzi, Włosi i Polacy, kiedy było potrzeba, przekształcali się w chińskich mandarynów, indyjskich braminów, przyjmując nietylko ich strój, ale sposób życia; raz sobie golili głowy, pozostawiając warkocz, drugi raz nakładali na nie turbany, czy fezy; raz się charakteryzują na Anglików, drugi raz obrastają jak niedźwiedzie. Robili to wszystko i robią, by odpowiedzieć wskazaniom swego prototypu, św. Pawła Apostoła: „dla wszystkich

stałem się wszystkiem, abym wszystkich pozyskał dla Chrystusa". Cóż tedy dziwnego, że posłani do pracy wśród prawosławnych na naszych kresach misjonarze, lub duchowni dopiero z prawosławia nawróceni, uważają za konieczne przystosować się, powiedzmy, do miejscowej mody, do tego obrazu duchownej osoby, jaki się wyrył w wyobraźni ludzi danego środowiska?

I dalej:

Akcja unijna na kresach bierze obrządek takim, jakim go tutaj znajduje w obecnej dobie; oczyszcza go tylko z wyraźnych znamion kościelnego odszczepieństwa, wprowadzając modlitwę za Ojca św., i usiłuje potem tchnąć w niego katolickiego ducha, uczynić zeń narzędzie katolickiego wychowania ludu. Autorowi „Kropki" nie podoba się to, jako konserwowanie „rosyjskości", tem nie mniej jest to metoda rozumna, a przy tem wyraźnie polecona przez Stolicę świętą i znana episkopatowi polskiemu, akcją tą kierującemu.

Kategorycznie zaprzeczył x. Urban, aby była dokonywana przez obrządek wschodni rusyfikacja naszych ziem i powołał się na Albertyn, gdzie o. o. jezuici posługują się wyłącznie językiem polskim (o. Urban był źle poinformowany o stanie rzeczy), wreszcie dodał uwagę, dotyczącą „prawosławia" unitów:

Unici są rzeczywiście „prawosławnymi", uznającymi papieża, tak samo zresztą jak i łacinnicy, bo w obydwóch liturgjach wyznawcy prawdziwego Chrystusowego Kościoła nazwani „prawosławnymi", we mszy łacińskiej — „orthodoxi catholicae fidei cultores". Prawdziwi Rosjanie także nie są wykluczeni z Kościoła katolickiego, więc są katoliccy kapłani Rosjanie i to obydwóch obrządków.

STANISŁAW MACKIEWICZ

NOWY OBRZĄDEK A POLSKA RACJA STANU

Niniejszemu artykułowi postawiłem ograniczone zadanie. Tylko i wyłącznie będę mówił o polskiej racji stanu, będę pisać tylko jako państwowiec polski. Właśnie dlatego, że państwowiec polski, choćby był kalwinem, czy prawosławnym, musi uznać, że państwo polskie może ze wszystkich państw katolickich ma najwięcej interesów państwowych, zbieżnych z interesami Kościoła katolickiego. Lud katolicki obrządku łacińskiego był tą śpiżową granią, o którą rozbiła się rusyfikacja. Ale obrządku łacińskiego tylko.

Sam x. Urban dostarcza nam pierwszego argumentu przeciw swoim tezom, zamieszczając w ostatnim „Przeglądzie Powszechnym” takie wiadomości z Rzymu:

„Od roku 1925 istniała w Rzymie przy Kongregacji dla Kościoła Wschodniego specjalna Komisja Pro Russia, w której koncentrowały się wszystkie sprawy, dotyczące Kościoła katolickiego w Rosji, jak również Rosjan, rozproszonych na emigracji. Obecnie, kiedy tragiczne położenie Kościoła w Rosji bolszewickiej wymaga zdwojonej czujności i nadzwyczajnych środków ratowania religji w tym nieszczęśliwym kraju, Ojciec św. Pius XI postanowił rzeczoną Komisję usamodzielnić i tem nadać jej większą powagę, czego też dokonał ogłoszonem 6 kwietnia motu proprio, odłączając ją zupełnie od Kongregacji dla spraw Kościoła wschodniego i czyniąc ją sui iuris w zależności jedynie od siebie. Przełożonym, praeses, tej usamodzielnionej Komisji został mianowany msgr. Michał d'Herbigny, tyt. biskup Ilio, prezes Papieskiego

Instytutu wschodniego i dotychczasowy konsulator Komisji. Słynie on jako doskonały znawca sprawy kościelnej w Rosji, do której kilkakrotnie jeździł i gdzie, jak wiadomo, wznowił hierarchję katolicką przez konsekrowanie kilku nowych biskupów.

Kompetencje Komisji Pro Russia, utworzonej w 1925 r., a obecnie tylko usamodzielnionej, dokument papieski tak określa, jakoby jej powierzone zostały sprawy, dotyczące Rosjan, tak pozostających w swojej ojczyźnie, jak i znajdujących się na emigracji. Więc wynikałoby, iż sprawy Kościoła w Rosji, o ile dotyczą katolików Polaków, czy innych narodowości, nie należą do kompetencji tej Komisji. Praktyka jednak, która jest najlepszą w danym razie komentatorką myśli prawodawcy, wykazała, że pod mianem Russi rozumiano katolików wszystkich narodowości, to jest całość Kościoła katolickiego w Rosji bolszewickiej, frequentissimos Russiarum populus, liczne Rosyj (w liczbie mnogiej) ludy, jak wyraża się we wstępie do swego motu proprio Ojciec święty. Nadto do Komisji tej należą—znowu w świetle praktyki—wszystkie sprawy, związane z obsługą duchową czy wspomaganiem materjalnem Rosjan emigrantów. Komisja więc Pro Russia jest nietylko najwyższą po Ojcu św. władzą dla katolików wschodniego obrządku, ale dla wszystkich katolików, a zatem i łacinników, czyli Polaków, Litwinów i t. d. o ile znajdują się na terytorjum republik sowieckich. Owszem, jak prywatnie się dowiadujemy, do niej należeć będą także sprawy, związane z akcją unijną, to jest pozyskiwaniem dla Kościoła we wschodnim obrządku dysydentów wschodnich na naszych Kresach, poza diecezjami ruskiemi w byłej Galicji, chociaż, o ile o te kresy chodzi, nie mamy do czynienia ani z terytorjum rosyjskiem, ani z emigrantami Rosjanami, lecz z ludnością odwiecznie tu osiadłą. Dlatego Komisja Pro Russia posiada pośrednio wielkie

znaczenie i dla naszych diecezyj kresowych, w których pod kierunkiem i jurysdykcją biskupów łacińskich prowadzona jest akcja nad organizowaniem katolicyzmu w obrządku wschodnim".

Oto są typowe wiadomości, niepomyślne dla państwa polskiego! Niedoceniać ich, lekceważyć, przechodzić nad niemi bez zrozumienia całego ich dla państwa polskiego niebezpieczeństwa, może tylko ten, kto nie wierzy w potęgę katolicyzmu. Jakto! — tworzy się Kościół katolicki specjalnie dla Rosjan, nazywa się to „Pro Russia" (a tutaj już niewątpliwie nie o samą nazwę, samą formę chodzi, za tą nazwą wielomówiącą stoi niewątpliwie wielomówiąca treść *siłą rzeczy polityczna)* i ta „Pro Russia" ma promieniować na nasze terytorja, na naszą ludność, naszych poddanych! Jakże daleko jesteśmy przy tych dźwiękach „Pro Russia" od mocarstwowych haseł, które całkiem nie wyobrażają sobie Polski jako pigmeja, jako quantité negligeable przy Rosji, lecz jako Rosji tej historycznego kunkurenta. Nie o ukształtowanie stosunków u nas według nastawienia Pro Russia nam chodzi, lecz raczej o możliwości wpływów naszych na bezkształtne obszary wielkiej Rosji. Jesteśmy tu o sto mil od naszej ideologji, naszych interesów i nadziei.

W artykule, ogłoszonym w „Słowie", pisze x. Urban dosłownie: „Kościół unicki w Galicji jest tak samo katolicki, jak i Kościół łacińsko-polski w Wilnie".

Tak samo katolicki — zgoda, ale nie tak samo polski! A dla polskiej racji stanu to drugie jest decydujące.

Zrobiliśmy raz z unją doświadczenie okropne. Unja stworzyła narodowość. Unja stała się powodem odrębności i wyraźnych, trudnych do asymilacyjnego przekroczenia, granic narodowości ukraińskiej. W naszych warunkach nie powstał żaden nowy nacjonalizm bez oparcia się o zakrystję. Ukraina galicyjska nie

powstałaby bez unji, tak samo jak nacjonalizm litewski to przedewszystkiem dzieło zakrystji, dzieło młodszego kleru litewskiego.

Po tych doświadczeniach toleruje się w Polsce obrządek, którego powodem i racją powstania jest oddzielenie się od polskości. „Zapuszczamy brody, wdziewamy ryzy" — mówią księża obrządku słowiańskiego — „aby nas lud miejscowy nie brał za Polaków. Bo lud ten jest neutralny wobec katolicyzmu, lecz niechętny panom i Polakom"—oto co się usłyszy od każdego misjonarza nowego obrządku. A więc nowy obrządek zgóry *dyskontuje niechęć ludu do Polski,* stąd wynika, że i poniekąd budowę swą opiera na tej niechęci, stąd wynika, że i w przyszłości żadnym mostem do Polski być nie może. Jeśli zawiodło nas tak bardzo dzieło Zygmunta III, które rozpoczęte w nawpół politycznych wyrachowaniach w rezultacie końcowym daje nam w wieku XX-ym metropolitę Szeptyckiego, — to czegoż możemy się spodziewać od tej nowej unji, pod auspicjami „Pro Russia"rozpoczętej?

Raczej więc dziwią nas nie artykuły takie, jak p. K-ckiego, lecz dziwi nas raczej ta bierność, z którą przypatruje się akcji unijnej społeczeństwo i zwłaszcza rząd polski. I społeczeństwo i rząd są niekonsekwentne. Kiedy otwiera się szkoły białoruskie lub daje stypendjum na seminarjum nauczycielskie, powstaje u nas opozycyjny hałas. Kiedy się zabiera stare polskie kościoły, aby przemiawiać w nich po rosyjsku i białorusku — społeczeństwo milczy. Tylko, że rządowe pieniądze na seminarjum białoruskie bądź co bądź można uważać za pewną, chociaż naszem zdaniem minimalną, gwarancję, że seminarjum to będzie miało pewne hamulce na antypaństwowem nastawieniu. Natomiast misjonarz, przystępujący do swej pracy w nastawieniu, że polskość tylko *odstrasza* ludzi od katolicyzmu, a więc jest czemś strasznem i niepotrzebnem,

nie daje nam żadnych gwarancyj na uzgodnienie nowego ruchu z nadziejami państwa polskiego.

Rozumiem oczywiście, że pewni w doli i niedoli, pewni murowanie, możeby być tylko ludności katolickiej i to obrządku łacińskiego wyłącznie, lecz opieka nad Cerkwią dałaby się dyskontować w latach, gdy Cerkiew prawosławna od granicy polskiej po Władywostok i Sachalin ulega uciskowi i prześladowaniu.

Myśl opieki nad prawosławiem ujawnia pięknie papież nasz Pius XI, gdy proponował bolszewikom, że konfiskowane po cerkwiach cenne przedmioty liturgiczne od nich odkupi i odda cerkwiom z powrotem— na co oczywiście bolszewicy nie przystali. Raz jeszcze spotyka się tutaj w zgodzie racja stanu polska z metodą działania katolicyzmu.

Na naszym terenie *największym kamieniem obrazy*, rzuconym w Cerkiew prawosławną, jest istnienie obrządku słowiańskiego. Nonsens całej sytuacji zobaczymy w takiem zestawieniu. Murawjew rozpoczął walkę z Kościołem. Obrócił przeciw Rosji, przeciw cesarzowi całe duchowieństwo katolickie. Decydował się na tę walkę, poszedł na nią dla celów *rusyfikacji* kraju. Kościołom katolickim przeciwstawił cerkwie prawosławne, które *rusyfikowały* kraj.

Przez popieranie, tolerowanie obrządku słowiańskiego rząd polski wstąpił właściwie także do walki z Cerkwią prawosławną. Dlaczego, poco? — Również dla *rusyfikacji* kraju. Cerkwiom rosyjskim przeciwstawia kościoły rosyjskie, kościoły „Pro Russia".

Stary Franciszek - Józef mówił: „rozumiem wojnę dla zyskania prowincji, nie rozumiem wojny dla stracenia prowincji". Tak samo my powiedzieć możemy: „Rozumielibyśmy walkę z Cerkwią dla *polonizacji* kraju, nie rozumiemy jej dla *rusyfikacji* kraju".

Raz jeszcze: rząd polski tak przedmajowy, jak pomajowy nie posiada żadnej polityki wyznaniowej.

WALERJAN CHARKIEWICZ

WOBEC NOWYCH NIEZNANYCH DRÓG

I. CERKIEW A KOŚCIÓŁ

Losami Cerkwi prawosławnej w Polsce powinien żywo interesować się każdy Polak nietylko dlatego, że co dziesiąty obywatel Rzeczypospolitej jest wyznawcą wiary prawosławnej, ale i dlatego, że interesy Cerkwi w wielu wypadkach łączą się z interesami państwa, wskazując wspólne drogi.

Wschód — tajemniczy, groźny, niepoczytalny — zakreśla te drogi.

Cerkiew w Polsce, szarpana wewnątrz trzema głównemi, wzajemnie się zwalczającemi prądami nacjonalistycznemi — rosyjskim, ukraińskim i białoruskim, mająca na każdym kroku niesłychane trudności do przezwyciężenia wskutek konieczności wytworzenia nowych form organizacji życia, ma przed sobą wielkie zadania; ma też i wielką przyszłość, której gwarancją jest Wydział Teologji Prawosławnej na Uniwersytecie Warszawskim oraz Autokefalja Cerkwi.

Autokefalja jest wielką i świetną zdobyczą Cerkwi w Polsce. Jej wartość i znaczenie polega nietylko na stanowczem uniezależnieniu się od fikcji prawosławnej Cerkwi w Sowietach, lecz przedewszystkiem na możliwości stworzenia jedynej bodaj na świecie naprawdę niezależnej od niewoli świeckiej Cerkwi greckiej.

Bo to było (i jest) tragedją Cerkwi, iż staje się ona narzędziem różnych rządów różnych narodów, zostaje odsuwana od spraw dla niej najżywotniejszych,

spada do roli biernej wykonawczyni woli ludzi, niewiele się troszczących o dusze ludzkie i podporządkowujących interesy ducha interesom materjalnym, najbardziej nieraz poziomym.

Dzieje Cerkwi w Rosji są wprost rozpaczne: są to dzieje beznadziejnego zmagania się z przemocą czynników świeckich, brutalnie miażdżących powagę i niezależność kapłanów. Jest coś okrutnego i niemal pogańskiego w stosunku Rosjan do kapłanów prawosławnych przy jednoczesnem przywiązaniu do obrzędów Cerkwi. Już Iwan Groźny urządzał bluźniercze parodje nabożeństw, protestujących zaś biskupów zaszywał w skóry niedźwiedzie i szczuł psami, przekazując carom moskiewskim wypróbowane metody gwałtów nad duchem ludzkim; pierwszy imperator Wszech Rosji, Piotr I, w roku uzyskania tytułu imperatorskiego (1721) ustalił sławetny urząd oberprokuratorów św. Synodu, gwałcąc tem niezależność Cerkwi.

Ciekawy i zastanawiający jest wykaz tych osobliwych dostojników Cerkwi. Pierwszym oberprokuratorem był Iwan Bołtin, pułkownik, drugim Aleksy Baskakow, kapitan gwardji, trzecim—Rajewskij, kapitan i t. d. i t. d. pułkownicy, radcy, generałowie...

Niewola Cerkwi w Rosji była kompletna, trwa do chwili obecnej z tą tylko zmianą, że o losach Cerkwi decydują obecnie nie generałowie i radcy stanu, lecz komisarze. Będzie ta niewola trwać i w przyszłości...

Po rządach bolszewickich nastąpią rządy reakcji, której pierwszem zadaniem będzie zmobilizowanie duchownych prawosławnych celem opanowania nastrojów wśród najszerszych mas. Niezawodnie Cerkiew prawosławna odegra decydującą rolę w odbudowie Rosji i nie ulega wątpliwości, że po dokonaniu odbudowy znów spadnie do stanowiska jakiegoś urzędu, posłusznego rozkazom władz świeckich.

Obok ucisku Cerkwi ze strony rządu rosyjskiego, ucisku, mającego pozory wyróżniania i honorowania, była w Rosji na szeroką skalę kultywowana obrzydliwa pogarda dla kapłanów prawosławnych i ich rodzin. Spotkanie na ulicy duchownego prawosławnego wróżyło nieszczęście: trzeba było splunąć trzy razy przez lewe ramię; wśród inteligencji rosyjskiej była rozpowszechniona niesmaczna parodja śpiewów cerkiewnych:

A pop s kamiławkoj walajetsia pod ławkoj —
Omierzitielno, omierzitielno... etc.

Żołnierze zaś nawet na ulicach Moskwy darli się na całe gardło, wyśpiewując pornograficzną pieśń o przygodach popówny:

Papowna, papowna, papowna maja,
Papomni, papowna...

W wojsku duchowny był uważany za coś niższego nietylko w porównaniu z oficerami, ale nawet w stosunku do lekarza, weterynarza, ba! — nawet kapelmistrza!... Nawet wojna i śmierć, ciągle zaglądająca w oczy, niewiele wniosły zmian...

Cerkiew prawosławna w Polsce ma przed sobą jasne, szerokie horyzonty: zawsze będzie posiadała dobre warunki do kształcenia apostolskiego ducha swych kapłanów i możność oddziaływania na wielkie rzesze wiernych; nigdy jej kapłani nie zejdą do roli pomocników „uriadników" i „prystawów". I dlatego młode pokolenie kapłanów prawosławnych, wychowywanych w Polsce, może się stać swego rodzaju arystokracją wśród ogólnego duchowieństwa prawosławnego, — i dlatego spadnie nań wiele nieoczekiwanych i ciężkich obowiązków...

Myślę o stosunkach z Rosją — jutrzejszą...

Co dzisiaj jest w Rosji? Nie wiemy dokładnie... Zdajemy sobie sprawę z ogromu i potworności prześladowań religijnych w Rosji, lecz nie możemy ogarnąć jego skutków. Wiemy o tchórzostwie i nikczemności metropolity Sergjusza, o strasznym monasterze w Sołowkach, o torturach i wyrokach śmierci bez sądu... Lecz czy to lawirowanie najwyższych dostojników Cerkwi i krew i ofiary szeregowych kapłanów prawosławnych będą miały wyraźne skutki dodatnie?... Czy da się uratować ducha religijnego wśród szerokich mas?

Wiele się mówi o cichej opozycji ludu rosyjskiego, o wzmożonej religijności na wsi i w miastach, o przepełnionych cerkwiach... Fakty te nie znajdują jednak stanowczego potwierdzenia; przeciwnie, można sądzić o kompletnem zdziczeniu Rosjan. W numerze 11 ukraińskiego czasopisma „Duchownyj Sijacz" została umieszczona obszerna wzmianka o losie duchownych prawosławnych w Rosji. I oto tam ze szczerem zdziwieniem czytamy o tem, że policja w Kijowie aresztowała w ostatnich czasach 140 (stu czterdziestu!...) duchownych prawosławnych za uprawianie żebraniny na ulicach miasta!... Ten fakt jest wymowną ilustracją potwornych stosunków, panujących w Bolszewji, jest krzyczącem oskarżeniem pod adresem bolszewików, ale jednocześnie jakże smutnie świadczy o tych, którzy jeszcze uważają siebie za prawosławnych. Rozumiemy, że 140 duchownych, ze względu na ich rodziny, znaczy tyle co najmniej 500 umierających z głodu osób, lecz czy w całym Kijowie niema tylu prawosławnych, żeby móc zapewnić kawałek chleba kapłanom?...

Bolszewicy tępią religję zapomocą gwałtów lub iście szatańskich podstępów.

Gdy ludność zwraca się do komisarza z prośbą

o pozwolenie na odprawienie nabożeństwa, słyszy stale odpowiedź:

— „Bardzo chętnie, przecież w Sowietach jest wolność religji". Lecz tenże komisarz idzie niezwłocznie do duchownego i, grożąc rewolwerem, uprzedza, że jeżeli ten odprawi nabożeństwo lub komuś powie o ich rozmowie, zostanie natychmiast rozstrzelany.

Rezultat pewny: duchowny zanic nie chce iść do cerkwi i w oczach ludności wygląda na mniej religijnego i ludzkiego, niż komisarz...

Nie łudźmy się nadzieją na jakikolwiek ruch religijny w obecnej Rosji; gdy będziemy mogli przekroczyć nasze wschodnie granice, zobaczymy po tamtej stronie przerażającą pustynię, zaludnioną manekinami ludzkiemi, pozbawionemi ducha...

Rosja będzie wymagała ogromnej pracy misyjnej— pracy apostolskiej, natchnionej, ofiarnej...

Czy Cerkiew prawosławna w Polsce myśli o tem? Nie wiem. Że Kościół katolicki myśli o tem, dowodem rzymska komisja „Pro Russia".

Na terenie przyszłej Rosji, przypuszczać należy, spotka się Cerkiew z Kościołem w zbożnej, ciężkiej i świętej pracy ratowania dusz ludzkich.

Wywiąże się rywalizacja, będzie stoczona, najszlachetniej pojęta, walka...

I dlatego, zastanawiając się nad stosunkiem w Polsce Kościoła i Cerkwi, zdaje mi się, można ten stosunek ująć w ten sposób:

— „Walka (ta najczystsza i najwyższa) na terenie przyszłej Rosji, — zgoda braterska w Polsce".

II. CERKIEW A UNJA

Wymówiłem dwa piękne słówka: „zgoda braterska”... Jakżeby się chciało zastąpić je jednym wyrazem „Unja”.

Niezawodnie, niema obecnie wśród prawosławnych w Polsce mniej popularnego wyrazu, niż właśnie ten, — z drugiej zaś strony rzadko kiedy sprawa zjednoczenia Kościołów była bardziej aktualna i konieczna, niż teraz.

Gdyby można było wyobrazić sobie dokonanie w najbliższym czasie unji Kościołów wschodniego i zachodniego w Polsce, możnaby było już nie marzyć, lecz wierzyć w pozyskanie dla katolicyzmu przyszłej Rosji, a co zatem idzie — o przeistoczenie psychyki rosyjskiej, o wydobycie z narodu rosyjskiego nowych, dotąd drzemiących sił i o rozpoczęcie w dziejach ludzkości świetnej ery.

Stanęlibyśmy wówczas wobec możliwości zrealizowania marzeń i nadziei filozofji polskiej, wskazującej niegdyś na bliskie rozpoczęcie się epoki Ducha i na rolę Słowian, mających stworzyć syntezę, uzupełniając i doprowadzając do szczytu wysiłek narodów romańskich i germańskich, które dotychczas reprezentowały ducha Europy.

Idea unji, szeroko pojęta, nabiera w świecie katolickim coraz większej siły. W ciągu ostatnich dziesięcioleci (od pontyfikatu Leona XIII), a szczególnie w ostatnich latach, po Wielkiej wojnie, wytworzył się w Europie wielki ruch, mający na celu poznanie Kościoła wschodniego oraz usunięcie przeszkód do pojednania.

W całej Europie powstały organizacje, badające ruch religijny na wschodzie, zrodziła się obfita literatura (często naiwna lub bałamutna), wyrosły w wiel-

kiej ilości czasopisma. Nie dość tego: od roku 1907 co dwa—trzy lata odbywają się międzynarodowe zjazdy unjonistyczne, na których są omawiane podstawowe zagadnienia, dotyczące ruchu unijnego w Europie. Pierwszy taki zjazd odbył się w Wielehradzie, ostatni, w roku zeszłym, w Pradze czeskiej.

Polska w ruchu unjonistycznym stoi na szarym końcu, często nie ma głosu nawet w kwestjach bezpośrednio ją obchodzących, jest zwykle traktowana zagranicą jak dziecko, nie zdające sobie sprawy z pożyteczności smoczka i rózgi...

Polska, w której się zrodziły i zrealizowały najśmielsze i najszczytniejsze koncepcje unijne — polityczne, narodowe, religijne — jest uważana w szerokim świecie za przeciwniczkę idei unijnej, za niedołęgę, niezdolną do czynu.

W ostatnim sądzie jest wiele racji. Jesteśmy niedołęgami.

Pozwalamy zagranicy nietylko wyprzedzić nas w ruchu, nas bezpośrednio obchodzącym, ale godzimy się na rolę wykonawców projektów, zgóry narzuconych, często nie przemyślanych należycie i zdradzających nieznajomość sytuacji.

Ruch unjonistyczny zagraniczny powinienby znaleść mocne echo w Polsce, a szczególnie na naszych ziemiach. Można być entuzjastą idei unijnej lub być względem niej całkowicie obojętnym (wrogiego stosunku nie wyobrażam), ale trzeba pamiętać, że to, co w Rzymie, we Francji, w Belgji — jest pewną abstrakcją, tu u nas — ma ciało i krew, to, co tam jest marzeniem, zrealizować się może przedewszystkiem na naszych ziemiach.

Ale czy my wiemy, co się dzieje zagranicą, co się mówi i pisze o nas, jakie zapadają decyzje, dotyczące nas?...

Gdzie są w Polsce pisma (nie ściśle teologiczne i nie obliczone na czytelników półanalfabetów), oświetlające zagadnienia nowego ruchu, gdzie w Wilnie (bo Wilno musi mieć głos decydujący) można mówić spokojnie i rzeczowo na tematy religijne i gdzie przedewszystkiem, na jakim szerszym gruncie może spotkać się katolik z prawosławnym?...

Spotykamy się tylko na gruncie ściśle prywatnym, prowadzimy rozmowy poufne, idziemy luzem...

Mamy w Polsce marzycieli, dążących do nawrócenia na wiarę katolicką wszystkich bez wyjątku inowierców, mamy „fachowców", dokonywających pewnych czynów podług planów, opracowywanych przez dalekich i nieznanych teoretyków, nie mamy tylko ludzi dobrze się orjentujących w zagadnieniu, bezwzględnie oddanych sprawie i tkwiących korzeniami w miejscowem społeczeństwie. Nie mamy większej ilości odpowiednio przygotowanych „laików".

„Laicy" w Polsce naogół są traktowani jako szpetny wybryk natury, jako istoty, potrzebne tylko do statystyki lub do organizowania pochodów i akademij; wskutek tego niektóre poczynania religijne, myśli oraz idee pływają często jak oliwa na wodzie, nie sięgając wgłąb życia.

W sprawach religijnych dwa zjawiska są jednakowo niezmiernie szkodliwe: indyferentyzm oraz nierozsądna gorliwość.

W stosunku do zagadnienia unji w Polsce zarysowują się właśnie te dwa zjawiska... I to niezwykle utrudnia porozumienie się katolików z prawosławnymi...

Prawosławni nie mogą spokojnie mówić o unji. Mają strach przed nią, widząc w niej pierwszy krok do likwidacji obrządku greckiego. Tę nieufność do unji przenoszą prawosławni do wszelkich posunięć

Kościoła katolickiego, zawierających wyraźne pierwiastki zgody i miłości.

W tem braku zaufania do katolików posuwają się nieraz prawosławni za daleko. Pamiętamy niezdecydowaną postawę Cerkwi prawosławnej wobec powszechnych modłów z inicjatywy Ojca św. za ginących chrześcijan w Rosji. Jeszcze jaskrawszy fakt zaszedł w sierpniu roku 1929 na unjonistycznym zjeździe w Pradze.

Podczas obrad zjazdu nadeszła wiadomość o zrujnowaniu w Moskwie przez bolszewików słynnej kaplicy Iwerskiej, która posiadała jeden z największych skarbów religijnych, rosyjski cudowny obraz Matki Boskiej.

Biskup d'Herbigny oznajmił zebranym o tym smutnym fakcie i polecił odmówić głośno krótką modlitwę do Najświętszej Panny, aby przebłagać Ją za barbarzyńskie czyny współczesnych pogan.

Obecny na zjeździe prof. teologji prawosławnej na Uniwersytecie Warszawskim, p. Zyzykin, wzruszony tak zgodnem odczuciem przez katolików cierpień prawosławnych, zabrał głos, tłumacząc, czem była dla Rosjan kaplica Iwerska, oraz dziękując za współczucie i szczerą modlitwę.

Po zjeździe prof. Zyzykin otrzymał od swych władz — upomnienie!... Zaco?

Nieufność i uprzedzenia prawosławnych względem Kościoła katolickiego wypływają z dwóch źródeł: ze strachu przed ukrytą pod płaszczykiem religji wielką grą polityczną oraz z nieznajomości przeszłości.

Postać Possewina, „nawracającego" Iwana Groźnego w celu zorganizowania ligi przeciwtureckiej, zanadto głęboko tkwi w pamięci prawosławnych. Unja i podstęp — to są w pojęciu przeciętnego prawosławnego omal nie synonimy, jak zaś są traktowani

jezuici, zawsze chętnie popierający unję, o tem lepiej nie mówić...

Zarzut nieznajomości historji przez prawosławnych jest jednak zarzutem względnym: odnosi się on i do katolików!

Istnieje na temat unji przebogata literatura w języku rosyjskim, ale ta literatura prawie wyłącznie zajmuje się fałszowaniem faktów, istnieje ubożuchna literatura polska, pełna szlachetnego sentymentu, ale nie ogarniająca całokształtu niesłychanie skomplikowanego zjawiska, jakiem była unja w Polsce. Początek i upadek tej unji oświetlają źródła rosyjskie i polskie w sposób biegunowo przeciwny, ale... jednakowo nieścisły!

Jeżeli jednak szczerze pragniemy zbliżenia do siebie prawosławnych, musimy rozpocząć od całkowitego wyjaśnienia przeszłości. Musimy zorganizować poważne i systematyczne badania naukowe, musimy popularyzować ich wyniki, musimy stanowczo przeciwstawić się kłamliwej literaturze rosyjskiej, nie bojąc się jednak podkreślenia rzeczywiście popełnionych przez przodków błędów.

Ogół prawosławnych w Polsce składa się obecnie z dwóch nierównych grup: z autochtonów (a więc prawie wyłącznie potomków katolików) oraz z elementu rdzennie rosyjskiego, z dziada pradziada—prawosławnego, osiadłego w Polsce w ciągu ostatniego wieku.

Do obu tych grup inaczej trzeba przemawiać, ale trzeba przemawiać, a nie stawiać je wobec faktów dokonanych.

Cerkiew prawosławna przeżywa obecnie kryzys i jest szczególnie słaba. Stąd te próby wytworzenia wspólnego frontu z protestantami i stąd — nieufność do Kościoła, który może dać Cerkwi moc niewyczer-

paną, ale jednocześnie zanadto zbliżyć ją do siebie, a zczasem — całkowicie wchłonąć.

Łatwo zrozumieć obawy prawosławnych. Tem bardziej więc jest potrzebne wzajemne zbliżenie się. Żandarm rosyjski, przedzielający katolików i prawosławnych w Polsce, odszedł i nie wróci. Droga do porozumienia się jest otwarta i porozumieć się potrafimy. Ale tylko my — „tutejsi" — z tej i tamtej strony.

III. OBRZĄDEK WSCHODNI.

Wspaniała, porywająca, święta idea unji Kościołów wschodniego i zachodniego została przed kilku laty częściowo zrealizowana na naszych ziemiach w postaci t. zw. „obrządku wschodniego".

Czem jest ten obrządek?... — Przedewszystkiem: nie unją, jaka tkwi w naszej pamięci, nie Kościołem grecko-katolickim, posiadającym własną hierarchję odrębny ustrój wewnętrzny, własne kapituły, klasztory, szkoły duchowne i t. p. Obrządek wschodni jest ściśle związany z Kościołem rzymskim, kapłani są podporządkowani biskupom łacińskim, odrębności hierachicznej niema.

Taki stan ma strony dodatnie i ujemne. Do minusów zaliczyć należy pewne skrępowanie, brak całkowitej niezależności, która jest udziałem Kościołów. Obrządek nie może mieć nazewnątrz tej siły i powagi, co Kościół. Plusem jednak jest pewniejsza pozycja kapłanów. Wiemy, że wyznawcy Kościoła grecko-katolickiego byli często traktowani jako katolicy drugiej kategorji, że nawet biskupów unickich usuwano w cień wobec dostojników Kościoła łacińskiego i że takie stosunki utrudniały rozwój unji. Kapłani obrządku wschodniego pod względem praw i przywilejów nie-

tylko niczem się nie różnią od kapłanów łacińskich, lecz raczej mogą mówić o wyróżnianiu: przecież są oni najbardziej odpowiedzialnymi reprezentantami Kościoła, misjonarzami, mającymi za zadanie zbliżenie prawosławnych do Kościoła, awangardą i gwardją Kościoła katolickiego. Nic też dziwnego, iż znajdują się oni często w warunkach uprzywilejowanych pod względem materjalnym i moralnym.

Zorganizowanie obrządku wschodniego na naszych ziemiach jest dowodem tego, że świat katolicki szczerze pragnie powrotu do stanu z przed r. 1054, do zapomnianej jedności, — i że radosną chwilę pojednania chciałby przyśpieszyć za wszelką cenę, — że się już niecierpliwi.

Droga do unji w rodzaju Brzeskiej jest jednak bardzo, bardzo daleka... W obecnych warunkach nawet marzyć nie można, aby Cerkiew prawosławna, jak w r. 1596 z prawie wszystkimi swymi wyznawcami, z kapłanami, biskupami i metropolitą połączyła się z Kościołem, zachowując odrębny obrządek i samodzielną organizację. Na przeszkodzie temu stoi nietylko to, że najwyższymi dostojnikami Cerkwi są przeważnie ludzie, którym tradycje unji są całkowicie obce, ale i to, że ogół prawosławnych żywi do unji pewne uprzedzenie, ma wielkie zastrzeżenia, obawy i wątpliwości, często uzasadnione.

Wskutek tych trudności obrządek wschodni na naszych ziemiach, teoretycznie przynajmniej, ma rację bytu. Zadaniem jego byłaby walka z uprzedzeniem ze strony prawosławnych, nietylko zapomocą słowa mówionego lub drukowanego, lecz zapomocą żywych przykładów. Trzeba było wytworzyć takie formy, życia religijnego, któreby wymownie świadczyły, iż unja a likwidacja Cerkwi to nie są synonimy, że prawosławni, zbliżając się do Kościoła, mogą być pewni bezwzględnego poszanowania swego obrządku, że

wreszcie takie zbliżenie się będzie dla nich korzystne: da im nową siłę, otworzy szerokie horyzonty. Słowem, trzeba było rozpalić niezwykle jasne ognisko ducha, któreby zwracało na siebie uwagę nawet ludzi dotychczas indyferentnych, — któreby przyciągało do siebie, zachwycało, zapalało do czynów jednostki głębsze i bardziej wrażliwe...

Obrządek wschodni musiałby łączyć w sobie całą potęgę ducha katolicyzmu z głębią liturgicznych form greckich.

Olbrzymia praca czekała kapłanów obrządku wschodniego, — kapłanów przedewszystkiem i prawie wyłącznie. Wiemy przecież, że tragedją Kościoła unickiego był stały brak uświadomionych religijnie, inteligentniejszych i energiczniejszych wyznawców. W ciągu pierwszych trzech dziesięcioleci istnienia unji prawie cała szlachta opuściła szeregi wyznawców Kościoła grecko - katolickiego i przeszła na obrządek łaciński, co więcej: nawet zakonnicy, bazyljanie zaczęli masowo przechodzić do zakonu franciszkańskiego i w roku 1624 pozostała przy unji tylko setka bazyljanów. Żeby utrzymać Kościół unicki przy życiu, na prośbę ówczesnych metropolitów wydał Rzym surowy zakaz przechodzenia unitów na obrządek łaciński!...

W krótkim czasie dwa razy powtarza się ten zakaz: 10-XII 1615 przez papieża Pawła V, 7-II 1624— przez papieża Urbana VIII. Wytworzyła się dziwaczna sytuacja cywilno-prawna: unita mógł przejść na kalwinizm, arjanizm i t. p., nie miał tylko prawa być łacinnikiem!... Protestowała szlachta, kler łaciński, król... Surowe zakazy były omijane. Wówczas Stolica Apostolska zmodyfikowała zakaz (szlachty już nie pozostało!) i odniosła go tylko do duchownych unickich, pozwalając jednocześnie łacinnikom na wstępowanie do zakonu bazyljańskiego. Zasilony łacinnikami zakon

dźwignął chylącą się ku upadkowi unję i stał się główną ostoją wyznania...

Tak było kiedyś.

W obecnych warunkach tem mniej można było liczyć na wytworzenie inteligencji świeckiej obrządku wschodniego, dlatego cały ciężar akcji i cała odpowiedzialność musiała spaść na kapłanów.

Jacyż więc kapłani mogliby sprostać tym niezwykle ciężkim zadaniom? Jakim powinniby byli oni odpowiedzieć wymaganiom?

Przedewszystkiem trzebaby było od nich żądać (bo to wymaganie nie największe!) gruntownego wykształcenia teologicznego. Musieliby oni być przygotowani do dysput nawet z uczonymi teologami prawosławnymi i mieć bezwzględną przewagę intelektualną nad przeciętnym duchownym prawosławnym. Drugie wymaganie dotyczyłoby kryształowej czystości i prawości charakteru, ułatwiających bezpośrednie oddziaływanie na ludzi. Trzecie — zapału i natchnienia iście apostolskiego, zdolności do porywania ludzi. I wreszcie czwartym, bezwzględnym warunkiem byłoby zrosnięcie się z ziemią, na której mają działać, odczuwanie każdego jej drgnienia, znajomość — głęboka i serdeczna — ludzi „tutejszych", ich dusz, języka, zwyczajów i obyczajów...

Nie wiemy, czy wiele znalazłoby się kapłanów, odpowiadających podobnym warunkom, twierdzić jednak można, iż bez posiadania przynajmniej kilku takich kapłanów tworzenie obrządku byłoby bezcelowe.

Jakże wyglądają obecni kapłani obrządku wschodniego, czyli ludzie, którzy się podjęli historycznej misji reprezentowania wobec prawosławnych miłości, mądrości i potęgi Kościoła katolickiego, — demonstrowania zaś wobec katolików — dostojności, powagi i piękna form liturgicznych Cerkwi greckiej?...

Nie chcąc wypowiadać na ten temat własnego sądu, sięgnę do poważnego źródła, do wydanej w Wilnie w roku 1929 książki p. t. „Z zagadnień wyznaniowych w Polsce” p. Wiktora Piotrowicza.

Ze wstępu i uwag, zawartych w książce o wyznaniach, każdy może się dowiedzieć, iż p. Piotrowicz jest radcą wojewódzkim, kierownikiem Oddziału Wyznań, iż był przez pewien czas kierownikiem Działu Prawosławnego w Minist. W. R. i O. P., że w pracy swej korzystał ze światłych wskazówek Dyrektora Departamentu Wyznań w ministerstwie oraz z pomocy kolegów — radców ministerjalnych i wojewódzkich.

Cóż mówi autor o kapłanach obrządku wschodniego?

Na stronie 38 mamy wymowną klasyfikację tych kapłanów, podzielonych na trzy następujące grupy:

„Przedewszystkiem (jednostki) upadłe moralnie. Dalej: z przeszłością kryminalną. Następnie: bez żadnej ideowości i opanowane żądzą karjery osobistej oraz dóbr doczesnych”...

Ze zgrozą i rozpaczą patrzymy na równe szeregi spokojnych czarnych literek, zawierających straszną treść... Nie chce się wierzyć... Lecz autor na str. 39, w konkluzji powtarza swój sąd:

„Jeśli Kościół katolicki ma przeprowadzić unję, niech to robi przez pełnych ideowej wzniosłości i kryształowo czystych misjonarzy, a nie przez niepewnych lub upadłych moralnie, ideowo i etycznie (z małemi wyjątkami) nerwowych w swej akcji „pierekińczyków”...

Więc tacy ludzie uzupełniają szeregi kapłanów katolickich?! Tacy mają być czołowymi reprezentantami Kościoła wobec szerokich mas wyznawców Cerkwi?... Tacy są następcami Pociejów, Terleckich, Rutskich?!...

P. Piotrowicz nie może się mylić w ocenie sytuacji: za dobrze zna sprawy obrządku wschodniego; może jednak przesadza?

Z uwagą przysłuchiwałem się pochlebnym głosom prasy, które zbudziła książka p. Piotrowicza.

W „Przeglądzie Powszechnym" (Nr. 550) ks. Jan Urban stwierdza:

„Książka p. P... jest pożyteczna z tego względu, że porusza problemy, należące do najważniejszych w życiu politycznem odrodzonej Polski i Kościoła".

Głos ks. Urbana, doskonałego znawcy obrządku wschodniego, jest szczególnie ważki i znamienny.

Mimowoli nasuwa się pewne zestawienie. To pochlebne zdanie o książce p. Piotrowicza, milcząco potwierdzające prawdziwość miażdżących zarzutów pod adresem przedstawicieli obrządku wschodniego, oraz pełne temperamentu i werwy cięgi, dane tajemniczemu p. J. K., który się ośmielił posądzić tychże kapłanów omal nie o kierowanie się ideą wywrotową, antypaństwową.

Ks. Urban miał całkowitą słuszność, gniewając się na tak lekkomyślne posądzenie, — przecież jednostki „upadłe moralnie, ideowo i etycznie" żadną ideą, nawet opaczną, kierować się nie potrafią!...

IV. „UCHARAKTERYZOWANI NA ANGLIKÓW"

Gdyby kto zechciał powiedzieć: „Jacy są kapłani, taki jest Kościół katolicki lub Cerkiew"—popełniłby wielką niedorzeczność.

W Kościołach posiadających wielowiekową tradycję, kapłani niezawodnie odgrywają olbrzymią rolę, lecz nie są wszystkiem: wyrobiony ogół wiernych ma wpływ wielki, często decydujący. Natomiast powiedzenie: „Jacy kapłani — taki obrządek wschodni"

ma wszelkie cechy słuszności, gdyż w okresie tworzenia się nowych form tylko kapłani stanowią dobrze uświadomiony element wyznawców, tylko od nich zależy przyszłość, gdyż na ich apel odezwą się ludzie, do nich podobni...

Dlatego też możnaby skończyć uwagi na temat obrządku wschodniego, gdyż łatwo zrozumieć, iż niezwykły zespół księży „wschodnich" zrobi wszystko, aby ośmieszyć, zbagatelizować, skompromitować najwznioślejszą ideę jedności Kościołów.

Są jednak na szczęście jednostki szlachetne, czyste, ideowe, które w tym obrządku pracują, stanowiąc podług określenia p. Piotrowicza, „małe wyjątki".

W obszernym artykule p. t. „O akcję unijną na wzchodzie Polski" („Słowo" Nr. Nr. 105 i 107) ks. J. Urban mówi wyłącznie o tych lepszych kapłanach, do których przedewszystkiem należą (na to ks. Urban wyraźnie wskazuje) oo. jezuici, pracujący w Wilnie i Albertynie.

Kapłanom tym nie można zarzucić braku wykształcenia lub małej wiedzy teologicznej, nie można ich posądzić o robienie karjery lub chęć zysków; są oni mądrzy, zacni, czyści, lecz wyróżniają się z pośród innych kapłanów pod względem zadziwiającej nieznajomości ziemi i ludzi, z którymi mają do czynienia.

Trudno wymagać od ludzi, prawie wyłącznie pochodzących z Małopolski, znajomości naszej duszy i naszych stosunków, bez czego, nawiasem mówiąc, nie można prowadzić pracy unijnej, ale możnaby było spodziewać się chociażby pobieżnej znajomości naszych dziejów z uwzględnieniem przyczyn i warunków upadku unji, a przedewszystkiem orjentowania się w geografji.

Niestety. Miałem sposobność nieraz osobiście się przekonać, jak obce są nasze dzieje niektórym misjonarzom z Małopolski i jak szwankuje znajomość geografji, jeżeli się nie odróżnia Podlasia od Polesia.

Jak krzywdzący jest stosunek tych kapłanów do nas (mniejsza — prawosławnych czy katolików), do nas—„tutejszych", demonstruje dobitnie sam ks. Urban. Mówiąc o metodach pracy misyjnej, wskazuje na konieczność przystosowywania się do otoczenia pod względem wyglądu zewnętrznego.

„Francuzi, Włosi i Polacy, kiedy była potrzeba, przekształcali się w chińskich mandarinów i indyjskich braminów, przyjmując nietylko ich strój, ale sposób życia; raz sobie golili głowy, pozostawiając warkocz, drugi raz wkładali na nie turbany, czy fezy; raz się charakteryzują w Anglików (!), drugi raz obrastają jak niedźwiedzie... Cóż tedy dziwnego, że posłani do pracy wśród prawosławnych na naszych kresach misjonarze, lub duchowni, dopiero z prawosławia nawróceni, uważają za konieczne przystosować się, powiedzmy, do miejscowej mody (!), do tego obrazu duchownej osoby, jaki się wyrył w wyobraźni ludzi danego środowiska?"...

Zastanówmy się nad tym pozornie niewinnym ustępem, tłumaczącym wiele niejasnych rzeczy.

a) „nasze kresy"

W artykule ks. Urbana tyle razy powtarzają się te słówka!...

„Nasze kresy"... Gdzie?—W Wilnie i Słonimie!... Cóż jest za tym strasznym kresem?... — Rosja!... Bolszewicka, carska, czy nijaka, ale Rosja!...

Wiem, że tak nie myśli ks. Urban, natomiast taki pogląd zdecydowanie zdradza postępowanie wielu

przyjezdnych misjonarzy. Przypuszczam, że bezwiednie prowadzą oni zupełnie wyraźną robotę rusyfikatorską.

Język rosyjski niepodzielnie panuje w kościołach i w stosunkach prywatnych; nieraz na tem tle dochodzi do nieporozumień, protestów i skarg...

Niema nic złego w używaniu języka rosyjskiego, żałować należy, że ten język został wyrugowany ze szkół średnich, ale chodzi o stosowne używanie. Jeżeli ten język poniekąd sztucznie się kultywuje w środowisku, posługującem się językiem polskim lub białoruskim, jeżeli jednocześnie zaszczepia się niechęć, a nawet pogarda do wszystkiego, co jest polskie, — postępowanie takie należy zdecydowanie potępić!

Pan J. K. podchwycił pewien fakt, podany przeze mnie w „Źródłach Mocy". Mógłbym znacznie więcej powiedzieć na ten temat, ale wolę zamilczeć, jak wolę nie przytaczać innych równie smutnych przykładów nieorjentowania się w naszych nastrojach i stosunkach.

Zlitujcie się więc nad naszemi „kresami"!... Nie szukajcie już w Nowej Wilejce lub Żyrowicach — Rosji!... I nie dziwcie się, że dźwięk mowy rosyjskiej budzi naszą czujność, bo tym językiem w okolicznościach najmniej odpowiednich najchętniej posługują się obecnie emisarjusze bolszewiccy...

b) „moda"

Gdyby została dokonana prawdziwa unja dwu Kościołów, domaganie się od kapłanów greckich zmiany stroju byłoby nonsensem. Maskarada taka na nicby się nie zdała. W obrządku wschodnim ta sprawa jednak się komplikuje. Strój kapłanów greckich ułatwia porozumienie się z duchownymi prawosławnymi, którzy mogą się przekonać, że nikt nie będzie od

nich wymagał wyrzeczenia się dawnych zwyczajów i obyczajów, ale ten sam strój dezorjentuje i denerwuje szare masy ludu.

Przecież obrządek wschodni ma placówki na terenie pounickim, Kościół zaś grecko-katolicki w ostatnim wieku całkowicie się upodobnił do łacińskiego i był zdecydowanie polski. Z tem się trzeba liczyć. Echa dawnych wspomnień jeszcze żyją wśród ludu. Niedawno np. otrzymałem wiadomość z Żyrowic, iż udało się wreszcie odtworzyć dawną melodję pieśni żyrowickiej: dokładnie ją odśpiewała (pieśń polską) kobieta prawosławna, Białorusinka.

Ludność prawosławna naogół uważa obrządek wschodni za katolicyzm podlejszego gatunku; ludność katolicka widzi w obrządku najgorszy rodzaj prawosławja!

Rozmawiałem kiedyś z kobietą — katoliczką. Opowiadała z jakim trudem jej rodzina zachowała wiarę katolicką, z jakim wysiłkiem wychowywała swe dzieci w „polskiej wierze", jak daleko było do kościoła, jak „batiuszka" z ich wsi nieraz namawiał ją na przyjęcie prawosławia i t. p. Przed paru laty ten sam „batia" nagle się „nawrócił" (miał jakieś nieprzyjemności ze swojemi władzami) i oto kobiecie każą teraz chodzić do cerkwi, której tak starannie dotychczas unikała!... To ma być jej parafja!...

Tłumaczyłem, jak mogłem, sens dokonanych zdarzeń: nie rożumiała, czy nie wierzyła. Wciąż płakała i powtarzała wkółko, że nawet „za carskich czasów" takich gwałtów nie było. A zakończyła nieoczekiwanie:

„A możeby pan o tem do Piłsudskiego napisał?... Już jeżeli on nie pomoże, widać nie sądzone nam w polskiej wierze pozostać!"...

To są może drobiazgi, ale jak się pomyśli, że pozostałych przy życiu chełmskich unitów, ofiar prze-

śladowań, udekorowano papieskiemi orderami za wytrwałość w wierze i przysłano im „wschodniego" kapłana, łudząco podobnego do prawosławnego duchownego, każąc chodzić do cerkwi, której progów unikano jak ognia, — to żal się robi biednych ludzi, mających zamęt w głowie!...

O strojach kapłanów prawosławnych u nas mówi się, jako o „modzie"...

Tak, tak... Wilno, Kaługa, Słonim, Perm...

Ale za tę „modę" myśmy zapłacili dwoma miljonami dusz, oderwanych od Kościoła!... Żeby znowu nie trzeba było płacić!

c) „Anglicy"

Ultra-rosyjskie pierwiastki obrządku wschodniego oraz nieliczenie się z psychiką i przeżyciami miejscowej ludności wskutek jej kompletnej nieznajomości — obrażają nieraz uczucia narodowe i religijne Polaków i katolików; natomiast sam sposób podejścia do akcji ze strony niektórych misjonarzy wywołuje protest u wszystkich „tutejszych" bez różnicy narodowości i wyznania.

Proszę pomyśleć, jaką zaczynamy przeżywać rozterkę, spotykając kapłanów bez potrzeby „ucharakteryzowanych na Anglików"...

Podług metod, z powodzeniem stosowanych wobec Chińczyków i murzynów, ma się prowadzić praca misyjna na „dzikich kresach"...

Uchylmy głowę przed świętym zapałem ofiarnych misjonarzy, odważnie wyjeżdżających nietylko do Rodezji, lecz i do Wilna, ale doprawdy, czy nie zachodzi nieporozumienie?...

Niech łaskawi misjonarze zwiedzą w Wilnie świątynie ośmiu różnych wyznań i zastanowią się: czy

ludzie, którzy wytworzyli warunki do zgodnego współżycia wszystkich miłujących Boga,—są barbarzyńcami?...

I niech później przypomną dzieje poszczególnych naszych rodów, od największych—Radziwiłłów, Chodkiewiczów, Sapiehów, Tyszkiewiczów etc., aż do szaraczkowej szlachty... Każdy z nas — „tutejszych" bez trudu wymieni z pośród najbliższych krewnych, albo przynajmniej imienników, przedstawicieli różnych wyznań...

Dusze „tutejsze" nie są jak u murzynów—tabula rasa, przypominają raczej kartę gęsto zapisaną, z przekreśleniami i poprawkami.

Myśmy przebyli daleką i uciążliwą drogę, nim zdobyliśmy to, co posiadamy obecnie. Każde serce najpłytszego nawet „tutejszego" człowieka zawiera jakieś zakamarki, w których się przechowują pewne tajemnice...

Nasze przeżycia religijne może nie są ani lotne, ani głębokie, lecz napewno — skomplikowane i misternie wypracowane.

I dlatego misjonarz na „kresach" może przemówić do serca tylko zapomocą serca—otwartego, płomiennego, kochającego...

Samo „ucharakteryzowanie się na Anglików" niewiele tu zdziała.

V. MY I ONI.

Są w Wilnie dwie piękne, stare świątynie, obie pod wezwaniem św. Ducha. Kościół katolicki i cerkiew prawosławna.

Gdy Polacy z innych dzielnic oglądają kościół św. Ducha, bywają zaskoczeni. Przepyszne rokokowe wnętrze, pomimo cały niepokój tak charakterystycznych dla owej epoki form, ma w sobie coś sztywnego i ponurego. Nadmiar złoceń, hojnie rozrzuconych po

całym kościele, wielka ilość obrazów w srebnych sukienkach oraz mocno zaznaczone prezbiterjum, nasuwające myśl o ikonostasie,—wszystko to przypomina Wschód i oszałamia przygodnego obserwatora.

Pewna pani z Krakowa wręcz oświadczyła:

— Jabym nie mogła się modlić w tym koście: jest w nim coś obcego, co denerwuje.

A kiedy ta sama pani zobaczyła cerkiew św. Ducha, tę piekną barokową budowę, wzniesioną podług wzorów, danych przez jezuitów w kościele św. Kazimierza, — kiedy obejrzała roześmiane rokokowe wnętrze cerkwi, zapytała się krótko:

— Kiedyż ten kościół zostanie zwrócony katolikom? I nie chciała wierzyć, że cerkiew św. Ducha nigdy nie była kościołem, że została zbudowana dla prawosławnych, jako ich świątynia.

Tak jest w Wilnie... Coś podobnego poza Wilnem jest chyba tylko w Rzymie...

Poza ustawami, dekretami, prawami, normującemi wzajemne stosunki Kościoła i Cerkwi, poza unją, która tak ciężkie przechodziła koleje, aż tragicznie upadła, istnieje u nas, dzieci tej męczeńskiej ziemi, niepisana unja, która ułatwia nam wzajemne zbliżenie się pomimo różnic (często sztucznie podtrzymywanych)—religijnych, narodowych, politycznych...

Z tem się należy liczyć. To trzeba poznać i zrozumieć. Pewne rzeczy myśmy już przerobili, w rozwoju duchowym odbyliśmy niejeden etap, więc daleko poza sobą zostawiliśmy murzynów, nie odróżniających formy od treści.

Nie można do nas przemawiać niby do dzieci, jak to robi znakomity uczony i kapłan w artykule o akcji unijnej.

Gdy nam się mówi, że katolicy są prawosławnymi, bo we mszy łacińskiej są te słowa: „orthodoxi catholicae fidei cultores”, nie możemy nie drgnąć. Toż

to argument Siemaszków, Zubków i Łużyńskich, twierdzących, że Kościół bezprawnie przywłaszczył sobie miano katolickiego, bo jedynie Cerkiew jest „prawosławno-katoliczeskaja".

Słówko, pięknie brzmiące słówko ma rozstrzygnąć wszelkie zawiłości dogmatyczne, ma przekreślić odrębne drogi rozwoju, któremi w ciągu wieków szły Kościół i Cerkiew...

Argument, wynaleziony przez apostatów i bez większego powodzenia stosowany przez nich przed wiekiem, ma dziś zjednywać dla Kościoła—prawosławnych!...

Albo ta broda św. Józefata. Ks. Urban przycisnął do muru nieszczęśliwego p. J. K., broniąc „prawosławnego" wyglądu kapłanów wschodniego obrządku.

„...Czy widział (p. J. K.) jaki portret, przedstawiający tego świętego katolickiego bez brody? Ale i o tym świętym wie może tylko coś niecoś ze słyszenia, skoro nawet imię jego pisze niepoprawnie"...

Ten cios trafia nietylko w p. J. K., lecz przedewszystkiem w Bogu ducha winnych uczonych filologów, członków Akademji Umiejętności, którzy ustalili pisownię — „Józefat" — (vide słownik ortograf. J. Łosia), pisownię, nie uznawaną przez ks. Urbana. Ale wyobraźmy sobie, że p. J. K. pisze imię świętego niepoprawnie, powiedzmy: „Juzafat". Jeżeli jednak p. J.K. jest Wilnianinem, napewno zna go, lub przynajmniej odczuwa lepiej, niż przeciętny Krakowianin czy Poznańczyk.

Dla nas święty Józefat jest nietylko cudownym mitem, lecz żywą postacią. Na każdym kroku czujemy Jego obecność. Temi oto ulicami chodził święty do kościoła, tutaj się modlił, w tym klasztorze odbywał nowicjat, tu przeorował... Wspomnienia są żywe...

Powtarzam jeszcze raz: pewne zdobycze my już posiadamy, wielką drogę mamy poza sobą.

Broda św. Józefata nie jest argumentem. Wiemy dobrze, że współcześni świętemu biskupi łacińscy również mieli brody. Z wileńskich biskupów pierwszym, który golił brodę (i nosił perukę) był Aleksander Sapieha (1666—1671), po nim nastąpił brodaty Stefan-Mikołaj Pac. Golenie bród utrwaliło się dopiero od bisk. K. K. Brzostowskiego (1687—1722).

Ale dajmy pokój brodom. (Znowu „zagadnienie", wynalezione przez Siemaszkę!) Nie brody są straszne. Straszne to, że te brody, ten strój prawosławnych duchownych, połączony z uporczywem (często bardzo, bardzo niestosownem) używaniem języka rosyjskiego oraz z kompletnem nieliczeniem się z miejscowemi tradycjami, przypomina nieraz działalność „misjonarzy", przysyłanych niegdyś do nas z Tuły i Carewokokszajska!...

Ludność katolicka na wsi uważa obrządek wschodni za dalszy ciąg rosyjskich prześladowań wiary katolickiej; prawosławni zaś widzą w nim podstępny zamach na Cerkiew. I protestują przeciwko zamachowi i przeciwko podstępowi.

Idea unji jest święta—nikt nie zaprzeczy. Możliwość porozumienia między katolikami a prawosławnymi istnieje. Ale doprowadzenie chociażby do częściowej unji wymaga niezwykle delikatnych posunięć, wyjątkowo subtelnego odczuwania duszy ludzkiej, doskonałej znajomości terenu i ludzi oraz bezwzględnej szczerości.

Stosunek ludności katolickiej i prawosławnej do obrządku wschodniego zmieniał się niejednokrotnie, nigdy nie dając pozytywnych wyników.

Był czas (były to początki akcji), kiedy pewne grono katolików entuzjazmowało się, wierząc w możliwość wskrzeszenia unji. Wówczas wielki niepokój ogarnął prawosławnych. Mówiło się o „kopaniu prze-

paści", o „ciosie w plecy", zadanym Cerkwi, o gwałtach nad sumieniami ludzkiemi...

Po kilku latach dokonała się osobliwa „unja" katolików i prawosławnych, zjednoczonych w uczuciu wspólnej niechęci do obrządku. Każda strona z dziwną gorliwością i zapałem oczerniała jak mogła „akcję wschodnią", mając, coprawda, do dyspozycji olbrzymią ilość rewelacyjnych faktów...

Dziś nastąpiła trzecia faza. Katolicy (ex-entuzjaści unji) załamują ręce, myślą o listach i petycjach pod adresem marszałka Piłsudskiego, ks. Prymasa, lub Ojca św., — są zrozpaczeni i bezradni. Prawosławni (niektórzy) są zadowoleni. Oddali obrządkowi najgorszy element z pośród swych duchownych, wzmocnili się i, mając pozory „prześladowania", wyrabiają w swych młodych kapłanach odporność na wszelkie próby pojednania...

A jednocześnie na wsi, na naszej poczciwej, cichej, ciemnej wsi, daje się odczuć pewien niepokój. Zarysowują się dwa obozy... Błąka się potworne widmo nienawiści religijnej...

Stanowimy dwie grupy: my i oni—katolicy i prawosławni. Że potrafimy wytworzyć jedność jako obywatele, dowodem—karne żołnierskie szeregi, którym zawdzięczamy spokój na naszych „kresach".

Czy potrafimy zjednoczyć się religijnie? Kto wie? Żeby się porozumieć, musielibyśmy podejść do siebie bliżej i wysunąć z pośród siebie jednostki najlepsze, któreby wskazały nam drogę.

Dziś mamy pośredników. Są nimi albo najgorsi z pośród nas, albo — proszę darować! — nam obcy!... Pierwsi nie zrobią nic, drudzy mogliby być pożyteczni tam, gdzie niema posiadającej głębokie przeżycia religijne mieszanej ludności — *za Dnieprem!...*

Tam można z powodzeniem i wielką korzyścią dla dusz ludzkich stosować metody misjonarskie, wy-

próbowane w Rodezji! Poza temi dwiema grupami kapłanów obrządku wschodniego są tylko nieliczne jednostki, któreby można było nazwać męczennikami idei... Mamy dla nich cześć wielką, ale o ich słabości i nikłych wpływach na sprawę wiemy dobrze.

Nie trzeba w zbytniem zdenerwowaniu uważać obrządku wschodniego za minę, mającą rozsadzić państwo polskie, nie wypada znowuż i zamykać oczu na pewną szkodliwość nieprzemyślanych metod.

Bezwzględne, często brutalne kultywowanie języka rosyjskiego przy jednoczesnem odżegnywaniu się od kultury polskiej — niezawodnie godzi w interesy narodu polskiego.

Sianie, wskutek nieznajomości ludzi, nienawiści zamiast miłości, zgłębianie różnic religijnych i narodowych, wprowadzanie zamętu w pojęcia religijne, — wszystko to osłabia wewnętrzną spójnię państwa, a więc szkodzi mu.

Marna konduita jednych kapłanów wschodniego obrządku, błędna metoda działania drugich — niepotrzebnie wzmacnia Cerkiew, przekreślając na długie lata możność poważnego porozumienia się. Cierpi na tem Kościół katolicki.

Dlatego też każdy Polak, zdający sobie sprawę z wartości i znaczenia na naszych ziemiach kultury polskiej, — każdy obywatel polski, dążący do siły i spokoju państwa, — każdy katolik, pragnący ostatecznego triumfu Kościoła katolickiego i wierzący w możliwość dokonania prawdziwej unji, — z uczuciem szczerej ulgi i radości powitałby stanowczą zapowiedź bliskiego zlikwidowania dotychczasowych metod.

Wówczas — my i oni, zapominając o chwilowych nieporozumieniach, stanęlibyśmy w głębokiem zamyśleniu wobec nowych, nieznanych dróg...

X. WALERJAN MEYSZTOWICZ

SPRAWY UNJI KOŚCIELNEJ

Czy „akcja unijna" — to znaczy: szerzenie wiary katolickiej w obrządku wschodnim — ma być prowadzona dalej, czy zaniedbana? Każdemu, ktoby mówił, że szerzenia wiary katolickiej w obrządku wschodnim poniechać należy, wyraźną odpowiedź dał o. Urban: „obawa rozstania się z odrządkiem zamknęłaby niejednemu duszę przed wszelkiem zbliżeniem się do katolickiego kapłana. A trzeba, by wrota Kościoła stały naoścież każdemu, kto do Kościoła wejść pragnie... Wynika stąd potrzeba akcji unijnej nietylko „zgóry", od strony hierarchji dyzunickiej i pozyskiwania jej dla myśli zjednoczenia Kościołów,— ale i „zdołu", przez pozyskiwanie poszczególnych dusz. Argument to wielkiej wagi, argument porządku nadnaturalnego, duchowego podnosi o. Urban, cytując Maritain'a podstawową zasadę „prymatu duchowości"— „la primauté du spirituel". Na ten argument nie było odpowiedzi w polemice.

Zamiast odpowiedzi, nowe wynikło pytanie: czy na szerzeniu się wiary katolickiej w obrządku wschodnim nie straci — Polska? I czy niezbyt heroicznej wymaga się od niej ofiary, gdy się wymaga, by ona propagowała — lub choćby tolerowała — akcję, która na szkodę jej wyjdzie?

Mimowoli coś, jakby gorzka ironja się ciśnie na pióro ! Co tu mówić o tolerowaniu lub nietolerowaniu jakiejkolwiek akcji dziś, w Europie powojennej, w której wszelka władza państwowa stała się cieniem, w praktyce zupełnie bezsilna wobec byle hurtka, byle komsomołu! W teorji jednak pozostanie pytanie:

czy akcja unijna nie jest sprzeczna z racją stanu Polski? Oczywistą jest rzeczą, że samo przejście prawosławnych na jakikolwiek obrządek katolicki—samo pojednanie ich z Rzymem—nie może być klęską dla Polski. Przeciwnie, jedność religijna obywateli jest zasadniczo korzystna dla Państwa; a różnica samych tylko *obrządków* daje większe zadatki na stworzenie jedności, niż różnica *wiary*. Trzeba więc zgodzić się na to, że szkoda dla Paśtwa wyniknąć może nie wprost, z samej akcji unijnej, — lecz tylko ubocznie, z błędnych metod jej prowadzenia.

Właściwie cały spór dotyczył metod propagowania w Polsce wiary katolickiej w obrządku wschodnim.

Jakie zarzuty wysunięto przeciw metodom dotychczasowym?

Dwiema drogami szła praca unijna. Jedną z nich szli kapłani prawosławni, którzy jednając się ze Stolicą Apostolską, zostając katolikami, zachowywali dotychczasowy swój obrządek. Z drugiej strony, księża katoliccy przyjmowali obrządek wschodni, by w nim szerzyć dalej katolicką wiarę. (Dyskusja nie dotyczyła trzeciej, dotąd najwydajniejszej drogi pozyskiwania prawosławnych dla jedności kościelnej; tej mianowicie, którą prowadzą księża obrządku łacińskiego, przyjmujący prawosławnych do łacińskiego katolickiego Kościoła). Rozpatrzmy to, co pisano o obu drogach pracy unijnej w obrządku wschodnim.

P. Charkiewicz podniósł szereg zarzutów przeciw osobom i moralności kapłanów katolickich obrz. wsch., którzy do Kościoła przyszli z prawosławia. W pierwszej chwili zdają się te zarzuty czemś nieodpartem; tak jaskrawo stoją w wyobraźni cierpienia Kościoła, których powodem był o. Morozow i nietylko o. Morozow. Ulegamy mimowoli złudzeniu hałaśliwych skandali i dłuższego trzeba namysłu, by dosłyszeć głos sumienia, wypominającego przykłady

rzetelnej a więc niegłośnej pracy obrządku wschodnio-słowiańskiego, byłych prawosławnych. Nazwiska dziś mógłbym cytować... Ale co komu powie nazwisko spokojnego, pracowitego, pobożnego parocha na zapadłej parafji?

Mimo to, szkody, jakie przynoszą i Kościołowi, i Polsce, ci inni, lekceważyć nie można. Wskazała na to Stolica Apostolska, wydając orędzie o potrzebie specjalnej oględności w udzielaniu władzy duchownej nawróconym z prawosławia kapłanom.

Księża łacińscy, którzy przyjęli obrządek wschodni, by pracować dla pozyskiwania prawosławnych, prawie wyłącznie ojcowie jezuici—stoją na tym poziomie moralnym, który podziwiać można. Osobiste ich zalety słusznie podnosi p. Charkiewicz, a dodaćby się chciało do jego słów cześć dla poświęcenia, z jakiem obecni jezuici-unici godzą się na zmianę rzeczy tak drogiej każdemu kapłanowi, jak obrządek codziennych modlitw i ofiar; chciałoby się przypomnieć zasługi, jakie położyli wielcy jezuici, twórcy unji brzeskiej, ze Skargą na czele. (Wspomnijmy nawiasem, że choć unja ta upadła, to jednak Bogu tylko wiadomo, ilu w ciągu wieków dała ona świętych Kościołowi lub bohaterów Polsce).

Jeżeli jednak osoby ojców jezuitów pozostają na wysokości, do której spory nie sięgają — to metody, któremi oni ku zjednoczeniu prawosławnych z Kościołem rzymskim idą, zostały postawione pod znak zapytania. Właściwie główną osią i treścią polemiki była analiza stosowanych przez o. o. jezuitów metod.

Kwestjonowano więc przyjmowanie zewnętrznych form wschodnich—riasy, brody, rosyjskiego języka—jako sposobu trafienia do naszego ludu. Szczególnie p. Charkiewicz ostro podkreślał zbyteczność tego zabiegu, szukając jego przyczyn w nieznajomości naszego ludu i jego dziejów. Godzą się wszyscy na to,

że należy stosować taką formę w stosunku z prawosławnymi, która jest im bliską, zrozumiałą. Chociaż niestety pewien daleki odcień orjentalizmu osiadł w naszych, przeprowadzonych na prawosławie byłych unitach, to jednak niewątpliwie formy zawołżańskie są czemś zupełnie obcem w granicach całej dawnej Rzeczypospolitej. Chodzi zatem o utrafienie w ton odpowiedni, nie przesadnie wschodni. Rzecz to nie łatwa. A zarazem — rzecz to wielkiej wagi. Podnoszono, że właśnie zbytnio twersko-suzdalska, zbyt daleko w swem odchyleniu od polskości idąca forma może się stać „pracą pro Russia", „tworzyć komplikacje narodowościowe". Czy nie nazbyt daleko na wschód sięgnęły formy, obecnie stosowane? Czy istotnie potrzebny jest księdzu, idącemu do prawosławnej nawet chaty w słonimskim lub słuckim powiecie, inny język, niż polski, z naszem lokalnem zabarwieniem, inny strój, niż sutanna? Rozwiązanie tych kwestyj może mieć istotnie wielkie znaczenie i dla Kościoła i dla Polski.

Z kwestją form zewnętrznych łączy się najściślej sprawa druga,—podniesiona przez p. Charkiewicza—sprawa szczerości w akcji. Każdy, kto sprawę unji prowadzi, musi nieustannie pamiętać o niebezpieczeństwie, że to, co robi, uchodzić będzie za nieszczere; musi pamiętać o specyficznej nieufności ludzi, których już raz w okrutny sposób zawiódł Siemaszko i jego pomocnicy. Najlżejszy pozór nieszczerości przekreśla możliwość powodzenia. Im bardziej niepolskie, im bardziej wschodnie formy przybierze akcja — tem większa jest obawa, że wzbudzi nieufność. A zarazem, właśnie rzekoma nieszczerość jest powodem, dla którego akcja unijna gorzej drażni hierachję prawosławną, dalej ją odpycha od Rzymu, niż inna jakakolwiek propaganda przeciw prawosławiu. Nie należy przeceniać tego podrażnienia, ale i lekceważyć go nie można,

choćby przez wzgląd na miłość bliźniego. Szczególniej pamiętać trzeba, że akcja „od dołu" może się stać hamulcem na drodze do zbliżenia hierachji prawosławnej z Rzymem, i przez to szkodzić Polsce. Im mniej pozorów nieszczerości będzie w tej akcji, tem mniej stać ona będzie na drodze do hierarchicznego zjednoczenis Kościołów, tego wymarzonego ideału i kościelnego i państwowego.

Skierowanie uwagi na niebezpieczeństwo *pozorów* nieszczerości — oto jeszcze jedna zdobycz polemiki.

Tak więc reasumuję całość wyników dyskusji: twierdzono, że potrzebna jest ostrożność najwyższa przy udzielaniu władzy duchownej kapłanon — konwertytom; że potrzebna jest rewizja zewnętrznych form, stosowanych w akcji, oraz największa dbałość w unikaniu pozorów nawet nieszczerości. No, i że potrzebne jest najgłębsze, najdrobiazgowsze przestudjowanie dziejów nietylko całego kraju, ale każdego zosobna powiatu, każdej nieomal parafji, bo właśnie te dzieje szczegółowe najgłębszy ślad na duszach ludzkich zostawiły. Wydawałoby się, że przemyślenie tych spraw usunie z akcji misyjnej straszaka groźby dla racji stanu Polski.

Odczytuję artykuły, cały ich szereg. Widzę w nich niejedno zdanie gorące, płynące z gorącego przejęcia się sprawą. Sądzę, że ten głos podniesiony, brzmiący może nieraz o całą oktawę wyżej, niż trzeba, znajdzie wytłumaczenie w gorącym, serdecznym stosunku autorów do wszystkiego, co dotyczy Kościoła i Polski.

O. WITALI ŻELEŹNIAKOWICZ

NA MARGINESIE DYSKUSJI UNIJNEJ
(AUDIATUR ET ALTERA PARS)

Nie ulega żadnej wątpliwości, że sprawa unji Kościołów zajmuje w Polsce umysły wielu i wielu katolików, tak świeckich, jak i duchownych. Lecz trzeba pamiętać, że sprawa ta nie w mniejszym stopniu zajmuje także i prawosławnych i że prawosławni mogą mieć pod tym względem nieco odmienne zapatrywania. Niech będzie dozwolone i mnie, przeciętnemu wiejskiemu kapłanowi prawosławnemu, wmieszać się w tę dyskusję i dorzucić kilka swoich uwag, nacechowanych szczerą życzliwością tak do przedmiotu dyskusji, jak i do wszystkich jej uczestników, jako do braci swych w Chrystusie, chociaż i należących do innego chrześcijańskiego wyznania.

Rok 1054 był nieszczęśliwym w dziejach ludzkości, ponieważ w tym roku zachwiała się jedność Kościoła. Katolicy mniemają, że winnym rozdzielenia był wyłącznie Kościół wschodni. Prawosławni znowuż myślą, że ogromna część winy leży po stronie Kościoła zachodniego, chociaż pewną część winy niewątpliwie niesie i Kościół wschodni. Mnie się zdaje, że to ostatnie zdanie jest więcej zbliżone do prawdy. To, co się zdarzyło w roku 1054, było nieszczęściem i dla Wschodu i dla Zachodu i byłoby zupełnie sprawiedliwe, aby i Zachód i Wschód przyznały się do winy i przyłożyły starania do naprawy stosunku wzajemnego. Lecz, niestety, tego zrozumienia winy obopólnej bardzo trudno byłoby dopatrzeć się w działalności sług zachodniego Kościoła, którzy dążyli do

przywrócenia jedności kościelnej. Działalność ta zawsze szła nie w kierunku uzgodnienia poglądów, usunięcia przyczyn rozdzielenia i przywrócenia zgody braterskiej, lecz w kierunku „nawrócenia" i podporządkowywania Wschodu — Zachodowi.

Dla nas — prawosławnych podporządkowanie się Kościołowi rzymskiemu byłoby zdradą tego najświętszego, co człowiek posiada w sobie, zdradą naszego sumienia i honoru. Taką zdradą dla katolika mogłoby być podporządkowanie się Kościołowi prawosławnemu. Lecz kiedy mówimy o połączeniu Kościołów, powinno nam chodzić nie o zgnębienie i pokonanie kogoś, lub o podporządkowanie kogoś — komuś i t. d., ale o przywrócenie jedności duchowej. I ta jedność duchowa będzie przywrócona nie wtedy, gdy prawosławni uznają władzę papieża, lub gdy katolicy przyjmą prawosławny punkt widzenia w spornych kwestjach dogmatycznych, lecz wtedy, gdy i katolicy i prawosławni zrozumieją, że oni nie mają o co walczyć między sobą, że niema przyczyny do wzajemnej nienawiści między nimi i t. d.

Otwarcie mówiąc, ja nie zdaję sobie sprawy, w jaki sposób zostanie kiedyś przywrócona jedność Kościołów. Wierzę tylko w to, że kiedy my — i prawosławni i katolicy, będziemy tego godni, Bóg nas pogodzi w sposób Jemu jednemu wiadomy.

Niestety, trzeba przyznać, że teraźniejszy stosunek między Kościołem a Cerkwią nie pozwala mieć najmniejszej nadziei na to, że czas takiego pogodzenia się zbliża. Kościół i Cerkiew toczą między sobą walkę. Z wielkiem zadowoleniem mógłbym stwierdzić, że w walce tej Cerkiew zawsze się broni przed ofensywą Kościoła. Odpowiedzialność za tę walkę leży nie na nas, bo my nie zaczepiamy nikogo, a tylko się bronimy. Mogą mi powiedzieć, że historja zniesienia unji zaprzecza temu poglądowi. Lecz dążąc do znie-

sienia unji, Cerkiew przywracała tylko pierwotny stan swego posiadania.

Przypatrzmy się jednak temu stanowi rzeczy, który się wytworzył w Polsce, pod względem stosunków wzajemnych między Kościołem a Cerkwią. Stosunki te wyglądają tak, jakby Kościół miał wydać Cerkwi wojnę nieubłaganą, dążąc do tego, aby Cerkiew przestała istnieć. W tej wojnie wszelkie środki uznane są za dozwolone, ba, nawet gazy trujące. Niech mi ksiądz Urban wybaczy, lecz to porównanie ciśnie mi się pod pióro, kiedy wspominam o zalecanej przez niego „charakteryzacji na Anglików" i innych nie mniej skutecznych środkach bojowych. Muszę tutaj wspomnieć także o procesach rewindykacyjnych, które Kościół katolicki w tak olbrzymiej ilości wytoczył przeciwko Cerkwi prawosławnej. Z zadowoleniem mógłbym stwierdzić, że walka ta dotychczas wielkich szkód nam nie wyrządziła i, da Bóg, nie wyrządzi i w przyszłości. Naodwrót przyniesie ona nam dużo korzyści, bo zahartuje naszego ducha, bo powiększy naszą spoistość wewnętrzną. Właściwie nie miałbym poco pisać tego wszystkiego, bo jeśli taktyka Kościoła rzymskiego nie przynosi nam szkód, a tylko korzyść, to niema powodu starać się o zmianę tej taktyki. Lecz po pierwsze, jako chrześcijanie, mamy obowiązek wskazywania bliźniemu swemu jego błędów, chociażby te błędy były i korzystne dla nas. A po drugie wszyscyśmy mamy groźnego wroga, który zagraża i Cerkwi i Kościołowi. Wrogiem tym jest szatan i słudzy jego. Szatan teraz wyszedł z piekła i dąży do tego, aby zawładnąć duszami ludzkiemi. Szatan ten zagraża wszystkim ludziom, wierzącym w Boga, wszystkim chrześcijanom. I wszyscy chrześcijanie bez różnicy wyznań muszą z nim prowadzić walkę i w tej walce muszą wzajemnie się wspomagać. Jeśli chrześcijanie będą pro-

wadzić walkę między sobą, jedni napadając, a drudzy się broniąc, to szatan na tem tylko wygrywa. A przecież odpowiedzialność za walkę niesie ten, który ją wszczyna, bo napadnięty zawsze musi się bronić.

Chociaż Opatrzność Boska zrządziła tak, że właśnie Cerkiew prawosławna została pierwsza wystawiona na próbę ogniową walki z rozpętanym szatanem, lecz niewątpliwie walka ta, w mniejszym może stopniu, musi się stać i już się staje udziałem i Kościoła katolickiego.

Jak Kościół katolicki, tak i Cerkiew prawosławna mają przed sobą teraz nawał pracy, bo muszą przecież bronić powierzone sobie dusze od tej zarazy duchowej, która, niestety, trzeba to przyznać, rozprzestrzenia się teraz po świecie, bo nie spotyka jeszcze na swojej drodze dostatecznego, zdecydowanego i zgodnego przeciwdziałania ze strony czynników cywilizacji chrześcijańskiej. Nie warto tej ogromnej pracy powiększać jeszcze przez prowadzenie walki międzywyznaniowej. Walka ta może wyjść na korzyść tego trzeciego, który będzie się śmiał nad obiema osłabionemi stronami...

Nie my, pokolenie obecne — stworzyli rozdział Kościołów. Przygotowywał się on w ciągu stuleci. Trwa on już około dziewięciu wieków. I nigdy może przeciwieństwa, nas dzielące, nie były tak ostre, jak teraz. To, że Cerkiew teraz przechodzi przez katastrofę, nie oznacza jeszcze jej upadku. Katastrofy takie zdarzały się i w historji Kościoła katolickiego. Dość wspomnieć o reformacji. Jednakże Kościół katolicki żyje i posiada doskonałą, najlepszą może między wszystkiemi wyznaniami chrześcijańskiemi organizację wewnętrzną. To, że Cerkiew teraz jest słaba, nie oznacza jeszcze, że przyszedł czas, aby na nią uderzyć i ją pokonać. Po pierwsze, byłoby to niezgodne z zasadami chrześcijańskiemi. Po drugie, przy-

puszczenia o możliwem pokonaniu mogłyby się okazać mylne i wtedy jeszcze więcej oddaliłoby się upragnione pojednanie.

Nie my z pewnością będziemy świadkami połączenia Kościołów. Daleka jeszcze droga dzieli nas od tego cudu wymarzonego. Znamienne mi się wydaje zakończenie artykułów p. Charkiewicza, że Kościół i Cerkiew musiałyby stanąć wobec „nowych, nieznanych dróg”... A właściwie nawet znanych, bo przecież drogowskaz z łatwością możemy znaleźć w Świętej Księdze Żywota. Aby stanąć na te nowe drogi, trzeba dużo miłości szczerej, niefałszowanej, dużo pokory i dużo poświęcenia się. A przedewszystkiem, aby stanąć na te nowe drogi, trzeba pozostawić za sobą ten pogląd na Cerkiew i prawosławnych, który zachowują liczni katolicy, a może i cały Kościół katolicki i który można wyrazić słowami z Ewangelji: „Dziękujemy Ci, Boże, żeśmy nie tacy, jak ten celnik”.

rozmaźnia
dyj i tolki!

X. ARCYBISKUP EDWARD ROPP

LIST DO REDAKCJI „SŁOWA"

Szanowny Panie Redaktorze!

Miło mi przeczytać w „Słowie" list proboszcza prawosławnego, księdza Witalego Żeleźniakowicza. Wieje z niego szczerość i duch pogody, najlepszy podkład do równie szczerej rozmowy. Dla wzajemnego zrozumienia ważnym czynnikiem jest, aby objekt, o który chodzi, był jasno określony, tej zaś jasności brak. My, katolicy, obojętnie którego obrządku, dążymy do określenia *Prawdy*, a ojciec Witali o niej nie wspomina, a zdaje się życzyć ustępstw z naszej strony, aby dojść do zgody. Ustępstwa takie są możliwe i przez Kościół czynione w rzeczach nie tykających Prawdy, a stanowiących między nami a prawosławnymi rozdźwięk. Mylnie ojciec Witali myśli, że chcemy zniszczyć Kościół prawosławny; owszem Ojciec święty nieraz zaznaczał, że chodzi Mu o utrzymanie jego nietkniętym. Wszystko, co w nim jest i co stanowi jego odrębność, ma być przez nas uszanowane i uznane. Jakoto: hierarchja, prawo kanoniczne, obrządki i język. Jedynie to, co według naszego przekonania sprzeciwia się prawdzie, powinnoby ulec zmianie. Spór toczy się o prawdę, a nie o co innego. Mnóstwo kwestyj zostało już usuniętych i—praktycznie, zdawałoby się, że chodzi o to: czy Chrystus Pan ustanowił św. Piotra jako swego Namiestnika i Głowę Kościoła, czy też nie. Pod tym względem przemawia za naszem twierdzeniem historja pierwszych wieków i wiele głosów Ojców Kościoła, równie wschodnich jak i zachodnich, a nawet niejedno zdanie modlitewne, które się znajduje w liturgji prawosławnej na dni, po-

święcone pamięci biskupów rzymskich, czczonych zarówno na zachodzie jak i na wschodzie.

W tych rzeczach Kościół katolicki nie boi się dyskusji.

Zupełnie na innem podłożu leży kwestja rewindykacji dawnych świątyń katolickich obydwu obrządków, zabranych Kościołowi przez przemoc moskiewską. Mamy zasadę prawną „res clamat dominum". W wypadku, o który chodzi, może zasada być zmiękczona przy obopólnej zgodzie. O ile wiem, o taką zgodę starano się ze strony katolickiej, ale dobrej woli ze strony przeciwnej nie znaleziono. W przypowieści o faryzeuszu i celniku Chrystus Pan nie zarzucał faryzeuszowi fałszu w jego wierze, ale ganił jego pychę. Zdaje się, że mogę powiedzieć, Kościół katolicki w stosunku do prawosławnego pychą się nie odznacza, a owszem życzy mu, aby modlitwą doszedł do łaski, którą Jezus obdarzył pokornie modlącego się, o co i Sam pokornie Boga prosi.

Zupełną słuszność ma ojciec Witali, co do obowiązku wszystkich wierzących przeciwdziałania niebezpieczeństwu, grożącemu całemu światu od propagandy ateistycznej, krzewiącej się wszędzie. Pod tym względem Kościół katolicki daje przykład modlitwy, zupełnie nie tyczącej się nawracania inowierców. Ojciec święty nakazał, aby te trzy Zdrowaś Maryjo, które każdy ksiądz po Mszy św. jest obowiązany odmawiać razem z ludem, były odmawiane w intencji ratowania Rosji od ateistycznego panowania bolszewików i w tem widzę wielki krok ku pojednaniu naszemu.

Może ojciec Witali zechce te moje kilka słów przeczytać i rozważyć; nie tykają one historycznej przeszłości, a w stanie obecnym chyba dzielącej nas odchłani nie pogłębią, a do wzajemnego zrozumienia mogą się przyczynić.

WALERJAN CHARKIEWICZ

ALARM BEZ ECHA

Na unormowanie stosunków wyznaniowych na naszych terenach należy zwrócić szczególną uwagę. Wymaga tego troska o spokój dusz ludzkich, zależy na tem i państwu. Tereny pograniczne muszą być szczególnie mocne duchowo: nasz Zachód jest zwarty i zespolony, czy możemy to powiedzieć o Wschodzie?

A przecież w nasze wschodnie ziemie wciąż jak taranem bije bolszewicka propaganda, chwytająca się corazto innych środków; kiedy zaś bolszewizm padnie, będziemy obowiązani rozpocząć wielką akcję ratowniczą na strasznej pustyni duchowej poza kordonem...

I wówczas dopiero, jeżeli dziś nie przygotujemy gruntu, mogą powstać wielkie tarcia pomiędzy katolikami a prawosławnymi; wówczas jak mara powstanie kwestja dawnej unji, wobec której prawosławni zajmują zupełnie wyraźne stanowisko i o której my właściwie dość mgliste mamy pojęcie.

Bez dokładnego, naukowego poznania unji i jej wpływów na kulturę naszych ziem nie możemy mówić o dobrej znajomości naszej przeszłości; bez znajomości przeszłości nie można budować przyszłości: będziemy skazani na tragiczną konieczność popełniania dawnych błędów i grzechów...

Rozumiem pesymizm szlachetnych i życzliwych prawosławnych. No bo i gdzie jest wyjście?...

Trzeba już teraz spokojnie i poważnie omówić wspólnie — sprawy wyjątkowo delikatne, najdroższe, najistotniejsze, święte... Gdzie można się spotkać bez

obawy plotek, intryg i niestosownych komentarzy; na jakim gruncie można rozmawiać szczerze i serdecznie?..

Pozostaje więc uciec się do posrednika, jakim jest słowo drukowane.

I tu właśnie trzeba uderzyć na alarm, który, naturalnie, nikogo nie wzruszy i żadnego nie zbudzi echa!... Nie mamy wcale poważnej, wyczerpującej literatury naukowej, dotyczącej zagadnienia unji!... Gorzej jeszcze: prawosławni posiadają w języku rosyjskim przebogatą, wyczerpującą literaturę na ten temat!...

I to jest druga przyczyna, utrudniająca nam wzajemne porozumienie się.

Rosyjska literatura unijna jest wyjątkowo tendencyjna. Rozpoczął ją w końcu szóstego dziesięciolecia ubiegłego wieku prof. M. Kojałowicz, przedstawiciel pierwszego pokolenia „istinno ruskich" ex-unitów, wychowanków wileńskiego seminarjum duchownego. Za dzieło o likwidacji unji uzyskał on w roku 1873 doktorat teologji, całkowicie się poświęcił badaniu tego zagadnienia, wytworzył całą szkołę. Z Wilna, również z seminarjum duchownego prawosłownego, wyszli prof. Żukowicz, I. Jurkiewicz, S. Szczerbicki, G. Kiprianowicz i inni.

Ex-unici, wychowywani w atmosferze nienawiści narodowej i religijnej, jaka panowała po upadku powstania styczniowego, z pasją parwenjuszów religijnych i narodowych wymazywali ze swej przeszłości wszystko, co było „nieprawomyślne"...

Naginali fakty do swych upodobań w sposób niemożliwy i karygodny (przypomnieć tylko polemikę Kojałowicza z generałem Bobrowskim), a jednak wydobyli na jaw sporo dokumentów pierwszorzędnej wagi, co zmusza do liczenia się nawet z niedołężnie opracowanemi rozprawami.

Ilość pozycyj bibljograficznych rosyjskiej literatury unijnej — trzeba liczyć na setki i setki;—co my

możemy przeciwstawić?... Przestarzałego Likowskiego, kilkanaście przyczynków?...

Nie chodzi o polemiczną odpowiedź fałszerstwem historycznem na fałszerstwa; stać nas obecnie na objektywizm naukowy, ale przecież właśnie dzieł, odpowiadających nowoczesnym wymaganiom naukowym, my nie posiadamy!

Weźmy żywot św. Józefata. W języku rosyjskim istnieje na ten temat cała literatura (czasem wprost potworna!), my zaś z dumą możemy wskazać tylko na fundamentalne dwutomowe dzieło francuskiego benedyktyna Guépina p. t. „Un apotre de l'Union des Églises"... Ktoś zapyta się nas o dzieje Kościoła katolickiego w Polsce. Mamy całą literaturę: Pierling, Theiner, Lescoeur, Boudou; niedawno ukazało się kapitalne dzieło Völkera: „Kirchengeschichte Polens", słowem: o Kościele w Polsce szukajmy dzieł łacińskich, francuskich, niemieckich, tylko nie polskich!

Jeżeli cennych szczegółów o Kościele katolickim wogóle trzeba często dowiadywać się z dzieł obcych, to bez znajomości obcych języków mowy być nie może o poznaniu (niedokładnem) dziejów unji w Polsce!... Jakże możemy w tych warunkach mówić poważnie o akcji unijnej?... Jakże można porozumieć się z inteligentnymi prawosławnymi, wychowanymi na tendencyjnej literaturze?...

Potrzeba rozpoczęcia prawidłowo zorganizowanych badań naukowych z zakresu dziejów unji—jest paląca, krzycząca, alarmująca!...

Nie chodzi jednak tylko o te utylitarne pierwiastki badań, przecież oświetlenie dziejów unji w związku z dziejami kultury w wielu wypadkach zmieni nasz dotychczasowy pogląd na przeszłość naszych ziem, ogromnie się przyczyni do jej gruntownego poznania.

Mieliśmy na naszych terenach dwie wielkie fale ruchów religijnych: reformację i unję.

Fala reformacji porwała tylko szczyty społeczne—szlachtę—i prędko spłynęła, a jednak zostawiła zupełnie wyraźne ślady w dziejach naszej kultury. I dziś, po tylu badaniach, wobec dziesiątków tysięcy dzieł we wszystkich językach, wiele jeszcze jest do odkrycia i zbadania, czego dowodem jest świetnie przez prof. Kota redagowana „Reformacja".

Fala unji zalała olbrzymie tereny, sięgnęła warstw niższych, trwała dłużej. Już ten fakt musi zrodzić pewność, iż przeobrażenia w życiu kulturalnem naszych ziem, wywołane unją, musiały być znaczne, choć mniej widoczne. Ale o nich nie dowiemy się z dzieł francuskich czy niemieckich, a tem bardziej z rosyjskich. Nie dowiemy się i z polskich, których niema...

A przecież jakie pole do popisu mieliby historycy kultury, literatury, sztuki, odtwarzając dzieje unji we wszystkich jej przejawach!

Z Wilna przed laty wyszli rosyjscy historycy unji, oświetlający jej dzieje zgodnie z wymaganiami polityki rosyjskiej.

W Wilnie powinien powstać ośrodek nowoczesnych badań unijnych, bezstronnie i ściśle naukowo odtwarzających minioną przeszłość.

Czy nie stać nas na pismo w rodzaju „Reformacji", poświęcone dziejom unji?

Czy nie dałoby się zorganizować na seminarjach uniwersyteckich (na historji i teologji) pracy zbiorowej nad sporządzeniem bibljografji unijnej w kilku językach?

Czy nie możnaby było znaleźć pieniędzy (o ludzi łatwiej) na spolszczenie kilku najcelniejszych dzieł, wydanych w obcych językach?

Czy... Na miły Bóg!... Trzeba przecież coś robić!...

MIKOŁAJ GOŁUBIEW

W SPRAWIE POJEDNANIA KOŚCIOŁÓW

Oddawna chciałem zabrać głos, jako altera pars-prawosławny, w kwestji pojednania Kościołów. Cieszę się jednak bardzo, że dotychczas okoliczności nie pozwoliły mnie tego uczynić, albowiem pierwszy głos należał się komuś z przedstawicieli duchowieństwa prawosławnego.

Jednak po wystąpieniu o. Witalego, trzeba mówić o czem innem, bo wystąpienie to przesunęło sprawę na zupełnie inne tereny. Poprzednia dyskusja, prowadzona na łamach „Słowa", dotyczyła sposobów prowadzenia akcji unijnej, obecnie zaś, zdaje się, trzeba szukać przedewszystkiem punktu wyjściowego dla rozpoczęcia porozumienia się stron obu i uprzytomnić sobie, czy wogóle jest możliwe jakie takie, powiem, zbliżenie punktów widzenia katolickiego i prawosławnego. W tej sprawie i pozwalam sobie wypowiedzieć kilka uwag, zastrzegając, że jestem szeregowym laikiem, który jednak szczerze, zdaje się, szuka zgody i którego srodze bolały i bolą sposoby traktowania jednej z najpoważniejszych kwestyj w dziejach ludzkości.

Pogląd na poruszone pytania katolików, którzy na ziemiach naszych szczególnie gorąco biorą do serca sprawy unijne, da się sformułować w słowach, które pozwalam sobie wziąć z listu J.E. arcybiskupa Roppa:

„My katolicy, obojętnie którego obrządku, dążymy do określenia Prawdy (grube czcionki w oryginale), a strona przeciwna (w oryginale powiedziano „a ojciec Witali") o niej nie wspomina i zdaje się życzyć ustępstw z naszej strony, aby dojść do zgody".

Natomiast punkt widzenia prawosławnych, myślących o pojednaniu, streścił o. W. Żeleźniakiewicz w słowach, że przedewszystkiem należy myśleć „o przywróceniu jedności duchowej” między powaśnionemi Kościołami „i ta jedność duchowa będzie przywrócona nie wtedy, gdy prawosławni uznają władzę Papieża lub gdy katolicy przyjmą prawosławny punkt widzenia w spornych kwestjach dogmatycznych, lecz wtedy, *gdy i katolicy i prawosławni zrozumieją, że nie mają o co walczyć między sobą*” (podkreślenie moje).

Oto dwa sposoby podejścia do sprawy. I zdawałoby się, bardzo trudno znaleźć jakieś punkty do ich zbliżenia.

„A jednak porozumieć się musimy”, jak słusznie mówi p. dr. W. Charkiewicz w swym artykule „Alarm bez echa”. Jabym tylko pozwolił sobie nieco uzupełnić dalsze tak piękne słowa pana doktora o roli ziem naszych i powiedzieć, że jeżeli nawet włos z głowy człowieka nie spada bez woli Bożej, to tem bardziej nas, dzieci różnych narodowości i wyznań, umieszczono razem na tych ziemiach nie przypadkowo i nie poto, ażebyśmy szerzyli morze wzajemnej nienawiści, lecz poto, abyśmy, chociażby po tylu nieudanych próbach zwalczenia siebie z przewagą naprzemian to jednej, to drugiej strony, nareszcie zrozumieli włożony na nas najświętszy i najdostojniejszy obowiązek czynnego wytworzenia wspólnej drogi braterskiego współżycia i porozumienia się w Chrystusie.

A szczerze dążąc do takiego porozumienia, trzeba zaznaczyć, że właściwie punkty widzenia katolicki i prawosławny nie są już tak bardzo rozbieżne. Pozwolę sobie pod tym względem przypomnieć, że w encyklice „Praeclara” z dnia 20 czerwca 1894 roku Ojciec św. Leon XIII określił rozbieżności między katolicyzmem a prawosławiem terminem „dissensio”, to znaczy tylko jako „rozbieżność w zdaniach”. A ta-

kie określenie jest prawie identyczne z punktem widzenia ojca W. Żeleźniakowicza. Jeżeli bowiem między nami jest tylko „rozbieżność w zdaniach", a nie przeciwieństwo podstawowe, to powstaje poważne pytanie, czy jest choć najmniejsza podstawa do wzajemnego zwalczania siebie i czyż już tak niemożliwe jest wznowienie tej utraconej „jedności duchowej" na zasadzie prawdziwej miłości Chrystusowej, na zasadzie — brat z bratem, równy z równym.

Przecież i w Kościele katolickim były okresy powstawania poważnych „rozbieżności w zdaniach". Przypomnę chociażby tylko pokrewną rozbieżność w kwestji, czyj autorytet jest wyższy — papieża, czy soborów. Rozbieżność ta zarysowała się bardzo poważnie nawet na soborach Kościoła katolickiego (Bazylejski i inne), a jednak do jakiejś nowej schizmy nie doszło tylko dlatego, że spór (może właśnie przez pamięć o poprzednim rozłamie) nie został zaogniony tak, jak to było w latach 867 i 1054 i nie została zerwana właśnie ta „jedność duchowa" ze stroną, trzymającą się innego zdania. Więc wyciągając z tego naukę praktyczną i pamiętając dobrze, że w owych latach do rozdziałów doszło wyłącznie ze względów czysto ludzkich i to ze stron obu (dlaczego naprzykład strona katolicka nie zwołała wówczas odpowiedniego soboru powszechnego, któryby napewno waśń zażegnał?), należy przyjść do wniosku, że jedyną drogą do pojednania jest, jak mówi o. Witali, nawiązanie „jedności duchowej", czyli ściślej mówiąc, powrócenie do status quo ante z zapomnieniem narazie o wszystkich „dissensiones".

Naszem zdaniem jest to jedyna droga praktyczna do pojednania Kościołów i jeżeli na nią wstąpić, to my wierzymy święcie, iż za samą pokorę wzajemną, która jest niezbędna do takiego kroku, napewno otrzymamy łaskę do pogodzenia wszystkich kwestyj spornych.

X. JÓZEF MARCINOWSKI

W SPRAWIE JEDNOŚCI KOŚCIOŁA

Chciałbym na tem miejscu powiedzieć słów parę à propos ważności wzajemnego poznania się, niezależnie od tego, czy środkiem do tego będzie słowo żywe czy pisane.

Że pierwszym krokiem do jedności jest należyte poznanie się nawzajem, to chyba wątpliwości niema. Jest to zbyt jasne.

Poznanie się, o którem mowa, musi być naprawdę wzajemne. Do tego obie strony mają się zabrać w jednakowej mierze. Dla nas, katolików, miarodajny jest głos papieży. Ci zaś stale nawoływali i zachęcali do studjów nad Kościołami wschodniemi. Obecny zaś papież Pius XI, w encyklice z dnia 8 września 1928 roku „Rerum Orientalium" te studja wprost nakazuje. W encyklice tej między innemi czytamy te znamienne słowa, które muszą stać się programem dla każdego, komu sprawa jedności Kościoła leży na sercu, tak katolika jak i prawosławnego:

„Dla rozbudzenia miłości i wzajemnej czci bardzo wiele przyczynia się głębsza znajomość spraw wschodnich u ludzi Zachodu".

Bez wątpienia, że taki sam obowiązek poznania zasad wiary i życia religijnego swych braci katolików ciąży i na prawosławnych.

Pracując w tym duchu, albo zabierając się do pracy bez wszelkiego uprzedzenia, bez wszelkich innych celów, a jedynie dla dobra Kościoła, da się niejedno wyjaśnić i przez to usunąć z drogi do jedności.

Metropolicie moskiewskiemu Filaretowi (Drozdowowi) powszechnie się przypisuje takie powiedzenie: „Ludzie się odgrodzili na ziemi murami, lecz te mury nie sięgają nieba”. Zdanie to oznacza tyle, że przeszkody między nami nie są tak wielkie, by się nie dało przy pomocy Bożej usunąć ich z drogi do jedności, której wszyscy pragniemy.

Narazie bodaj jedyną drogą do zbliżenia się będzie dążenie do wzajemnego poznania się, czy to zapomocą słowa pisanego, czy żywego. Tego rodzaju robotę, według słów jednego rosyjskiego myśliciela, należy stawić w liczbie warunków, i dodałbym—koniecznych, do tego, co ukoronuje Bóg. Od nas zależy nie skutek, lecz dążenie (nie uspiech, no usilije).

Wierzymy mocno, że jedność Kościoła kiedyś nastąpi. Wierzymy tem mocniej, ponieważ Chrystus zapowiedział, że jest to sprawa łaski Bożej, a tej napewno Bóg nie odmówi, o ile tylko do tego Bożego dzieła zabierzemy się z dobrej woli i czystem sercem.

O. ANTONI DĄBROWSKI T. J.

JESZCZE NA MARGINESIE DYSKUSJI UNIJNEJ

Nowa serja artykułów dyskusyjnych na temat unji kościelnej, którym „Słowo" od grudnia ubiegłego roku otworzyło gościnnie swe szpalty, postawiła wreszcie tę naprawdę wielką sprawę na jej właściwym, bardzo podniosłym poziomie i wniosła w jej traktowanie ten spokojny i poważny, wolny od zagadnień namiętności i polityki, szczerze życzliwy i dostojny ton, którego urokowi oprzeć się trudno, a nad którego brakiem „w sposobach traktowania jednej z najpoważniejszych kwestyj w dziejach ludzkości" tak słusznie „i tak srodze bolał" pan Mikołaj Gołubiew.

Niechże w tej nowej atmosferze, wytworzonej ze strony prawosławnej głosami o. Żeleźniakowicza i p. Gołubiewa, ze strony zaś katolickiej odpowiedziami JE. ks. metrop. Roppa, p. dr. Charkiewicza i ks. prof. Marcinowskiego, będzie wolno dorzucić dla dobra Bożej sprawy parę uwag także i tym, którzy służbie tej sprawy specjalnie się oddali, a którzy w dawniejszych dyskusjach nie brali bezpośrednio udziału.

O. Witali Żeleźniakowicz, wykazawszy zupełnie słusznie, że i Wschód i Zachód muszą przyłożyć starania do zlikwidowania religijnego rozdziału, dokonanego w 1054 roku, i do naprawy wzajemnego między sobą stosunku, stwierdza zaraz potem, że niestety „działalność sług zachodniego Kościoła zawsze szła nie w kierunku uzgodnienia poglądów, usunięcia przyczyn rozdzielenia i przywrócenia zgody braterskiej, lecz w kierunku „nawracania" i podporządkowania

Wschodu — Zachodowi". Poczem dodaje: „Możliwe, że ten właśnie kierunek działalności unijnej Kościoła rzymskiego sprawił, iż w chwili obecnej Kościoły Zachodu i Wschodu są daleko więcej poróżnione między sobą, niż w roku 1054-tym". Zato Kościół wschodni— konkluduje o. Żeleźniakowicz — robi „bardzo dużo" dla przywrócenia jedności, względnie przybliżenia chwili pojednania,—mianowicie „zawsze się modli o tę jedność i szczerze jej pragnie".

Sądzę, że takie mniemanie o różnicy stanowisk Kościoła katolickiego i prawosławnego może pochodzić właśnie i jedynie z dużej nieznajomości pierwszego.

Przecie Kościół katolicki w każdej mszy św.— a odprawia się ich około 300.000 dziennie—modli się przez usta swych kapłanów przed Komunją św. o zgodę i jedność w Kościele Chrystusowym,—jedność tak zaleconą przez Boskiego Zbawcę. Czyni to także i w innych oficjalnych modlitwach, jak litanjach, procesjach z litanjami i innych podobnych.

Istnieją również osobne modlitwy, specjalnemi obdarzone odpustami, na uproszenie u Boga łaski tego zjednoczenia. A oto i teraz przez cały ubiegły miesiąc styczeń świat katolicki, na zlecenie Ojca św., wszystkie swoje modlitwy i wszelkie dobre uczynki ofiarował Bogu dla wybłagania upragnionego od wieków zjednoczenia Kościołów wschodnich.

I nietylko modli się o to katolicki Kościół; nietylko pragnie szczerze i gorąco zjednoczenia; on usiłuje także czynnie usunąć wzajemne niechęci, uprzedzenia i inne przeszkody, wiekami niestety nagromadzone i samem tem długiem trwaniem jakby skamieniałe, a tak bardzo utrudniające wzajemne porozumienie się i zjednoczenie. Papieże nie od dzisiaj wskazywali i wskazują drogę, na jakiej jedynie da się przywrócić

jedność religijną,—drogę mianowicie wzajemnego poznania się, szacunku i miłości.

Wśród wielu, bardzo znamiennych pod tym względem wskazań papieży, pozwolę tu sobie zacytować słowa Piusa XI z przemówienia konsystorskiego z dn. 24 marca 1924 r., gdzie Ojciec św. z naciskiem i stanowczo stwierdza, że „przyczyn wzajemnego nieporozumienia trzeba szukać i po stronie wschodnich i po stronie katolików Zachodu. Czas już zabrać się do wyrugowania przesądów, do rozwiania fałszwych koncepcyj doktrynalnych, błędów historycznych, które hamują dzieło zjednoczenia. Nie można bowiem spodziewać się powodzenia w tej sprawie bez wypełnienia następujących trzech warunków: 1) trzeba, byśmy sami wyzbyli się powszechnie kursujących, od wieków zastarzałych, a fałszywych pojęć co do wierzeń i instytucyj Kościołów wschodnich; 2) potrzeba, by wschodni — ze swej strony — przez sumienne a gruntowne studjum zaczęli się przekonywać o identyczności wiary starych ich Ojców z wiarą Ojców łacińskich, 3) wreszcie niezbędne jest, by wymiana zdań po tej i po tamtej stronie była prowadzona w duchu miłości bratniej".

W myśl tych zasad Kościół katolicki powołał przed kilkunastu laty do bytu specjalną wyższą uczelnię, t. zw. Papieski Instytut Wschodni w Rzymie, który wielkim wysiłkiem i nakładem stworzył cenną bibljotekę wschodnią, skupił poważne grono ludzi nauki—różnych narodowości,—wschodnim studjom oddanych, a zastępy nowych badaczy Wschodu gruntownemi wykładami i pracami naukowemi wyrabia i przygotowuje. Profesorzy i sympatycy Instytutu wydali już cały szereg publikacyj „Orientalia Christiana", wartości nieraz pierwszorzędnej, badaniom Wschodu wyłącznie poświęconych, których liczba dochodzi już dzisiaj do sześćdziesięciu kilku.

Z tej samej intencji zaznajomienia się ze Wscho-

dem i zbliżenia się doń zrodziły się, popierane przez Kościół katolicki, liczne „zjazdy wschodnie", jużto więcej propagandowe, na których z wielkim szacunkiem i życzliwością wyświetla się zwyczaje, tradycje, obrządki, dyscyplinę Wschodu. Istnieją też poważne katolickie czasopisma, jak „Irénikon", które ex professo, że tak powiem, „bronią interesów Wschodu" i wyświetlają z wielkiem zrozumieniem treść i ducha różnych zwyczajów i urządzeń wschodnich.

W ostatnich latach wzywa również Ojciec św.— o co zresztą w dyskusji „Słowa" potrącił już ogólnie ks. Marcinowski, — by we wszystkich, ile możności seminarjach duchownych uwzględniano liturgję wschodnią, prawo, języki wschodnie i t. p.

Gdyby kto pragnął zapoznać się nieco bliżej z działalnością choćby tylko dzisiejszego Papieża, podjętą w celu wzajemnego zbliżenia się Kościołów, znajdzie najważniejsze szczegóły choćby w krótkiej broszurce niżej podpisanego: „Pius XI a ruch unijny (wydanej u XX. Jezuitów w Krakowie, a przetłumaczonej także w Wilnie na język rosyjski).

Z tego wszystkiego można się przekonać, iż w Kościele katolickim jest naprawdę „dużo miłości szczerej, niefałszowanej, dużo pokory i dużo poświęcenia się",— tak wymaganych przez o. Żeleźniakowicza, aby dzieło zjednoczenia mogło wejść na nowe drogi...

Jakżeby to było pożądane, gdyby i po stronie braci prawosławnych ujawniły się i w czyn wcieliły podobne tendencje i zamierzenia! Gdyby i tam zaczęły być czynne podobne instytucje; gdyby przedmiotem ściśle objektywnych studjów i życzliwych zainteresowań stały się urządzenia, doktryny, tradycje katolickiego Kościoła!

Może się wolno spodziewać, że wszczęta w Wilnie publicystyczna dyskusja do ziszczenia i tego pragnienia dopomoże!

PRZEMÓWIENIA POSŁÓW P. P.: STANISŁAWA MACKIEWICZA I STANISŁAWA STROŃSKIEGO NA POSIEDZENIU SEJMOWEJ KOMISJI SPRAW ZAGRANICZNYCH W DN. 20 LUTEGO 1931 ROKU

(Fragmenty)

Pierwsze przemówienie wygłosił poseł Stanisław Mackiewicz (Klub BBWR.), który m. in. powiedział tak:

Jeszcze jedną sprawę chciałbym poruszyć, która częściowo tylko do tej Komisji należy, mianowicie zajęcia stanowiska wobec akcji Komisji Pro Russia, ufundowanej przy Stolicy Apostolskiej, która to akcja obejmuje nasze terytorja, między innemi także Podlasie i Chełmszczyznę. Przemawiam tu nietylko jako Polak, lecz może przedewszystkiem jako katolik. Państwo polskie historycznie jest związane z katolicyzmem. Daje temu wyraz Konstytucja 17 marca w swej sakralnej inwokacji, jeszcze żywszy daje temu wyraz projekt nowej konstytucji posłów Bloku Bezpartyjnego, ktory przewiduje nawet odebranie przysięgi Prezydenta w katedrze katolickiej...

Kościół katolicki krzewił zawsze przepiękną ideę pojednania Kościołów. Myśl ta w ciągu wieków niejedno uczyniła doświadczenie złe i dobre. My, Polacy wiemy o tem najlepiej. Unja Brzeska z 1596 r. która doszła do skutku staraniem naszego króla i wielkiego księcia Zygmunta III, dała Kościołowi katolickiemu rezultaty średnie. Związała postępy katolicyzmu z granicami państwa polskiego, a w unitach zyskało się materjał dość podatny na przechodzenie zpowrotem na prawosławie, czego dowodem była nietylko względna łatwość, z którą Moskale zniszczyli unję na obszarach b. Wielkiego Księstwa Litewskiego w 1839 r. ale także przechodzenie na prawosławie unitów w rosyjskich obozach jeńców podczas wielkiej wojny.

Obecnie Komisja Pro Russia chce stworzyć jakby nowy jakiś obrządek unijny, jakkolwiek tylko na naszem terytorjum, gdyż próby te, czynione w Rumunji, Grecji i wśród emigracji rosyjskiej, są tak nikłe, że mogą być pominięte. Tworzony nowy obrządek posiada kilkanaście tys. wyznawców, pośród których wielu jest takich, którzy nie wiedzą, że zmienili wiarę, że z prawosławia przeszli na katolicyzm. Najgorsze jest to—a ciągle pozwalam sobie mówić jako katolik,—na co mam nadzieję, że mi pozwolą członkowie tej komisji z lewicowej opozycji, — że ta akcja utrudnia ogromnie jakiekolwiek porozumienie naszego Kościoła z klerem prawosławnym, do tego stopnia kler prawosławny czuje się tą akcją dotknięty.

Sądzę więc, że minister Zaleski, jako kierownik polityki zagranicznej największego po Włoszech w Europie państwa katolickiego, reprezentujący miljony najszczerszych i najgłębszych katolików, państwa, posiadającego w tej kwestji ogromne doświadczenie, może się zwrócić do Stolicy Apostolskiej z uwagami w tej sprawie, które dyktować powinna troska o wiarę katolicką...

Faktem jest, że ten obrządek rusyfikuje nam Kresy, kłócąc nas jednocześnie z Cerkwią prawosławną. Rząd rosyjski zwalczał Kościół katolicki dla rusyfikacji naszych Kresów, tymczasem teraz wytwarza się sytuacja, że my psujemy sobie stosunki z Cerkwią prawosławną również dla rusyfikacji naszych Kresów. Jest to zupełnie nielogiczne...

Braliśmy duchową siłę od katolicyzmu, a katolicyzm znajdywał w nas najwierniejszych żołnierzy. Dziś także jako dla katolika, jest dla mnie artykułem wiary dążenie do tego, aby jak najwięcej ludzi wyrzekało się swych błędów i przyjmowało religię katolicką, lecz nie wierzę w nawracanie drogą tak zygzakowatą, jak ten nowy obrządek. Sądzę, że przytem Kościół nie

zyska literalnie nic, a państwo polskie poważnie będzie poszkodowane.

Ponieważ mówiłem o stosunku do Kościoła katolickiego, jako katolik i Polak, więc teraz już tylko jako obywatel państwa polskiego powiem, że cieszę się że stosunki nasze z Cerkwią prawosławną rozwijają się pomyślnie. Wobec znanego stosunku do Cerkwi ze stron Związku Socjalistycznych Republik Rad należy Polska do nielicznego już rzędu państw, w których Cerkiew prawosławna znajduje opiekę i pomoc. Także jako katolikowi z punktu widzenia dogmatycznego bliższa mi jest Cerkiew prawosławna, Kościół o tradycji apostolskiej, od każdego innego wyznania chrześcijańskiego, czy niechrześcijańskiego.

Następnie przemawiał pos. Stanisław Stroński (Klub Nar.).

Omawia pos. Stroński nasze stosunki ze Stolicą Apostolską, wspominając, że już rok temu zwrócił uwagę na pewne oznaki nie dość ścisłej współpracy naszego przedstawicielstwa w Watykanie, a także naszego rządu ze Stolicą Apostolską. Mówca widział wyraz tego w wielkich stratach, jakie polskość poniosła w ubiegłym roku na obszarach Rosji w obsadzaniu biskupstw, w niepomyślnym dla Polski brzmieniu konkordatu między Stolicą Apostolską a Prusami i w niedostatecznem zaopiekowaniu się pod względem religijnym Polakami na obszarze wolnego miasta Gdańska. Ponadto, jako rzecz najważniejszą, mówca wymienił swego czasu to, co tu obecnie było poruszone, mianowcie zagadnienie katolicyzmu i innych wyznań na wschodzie Polski.

W ostatnich latach zauważyliśmy zjawisko t. zw. obrządku wschodnio-słowiańskiego. Na obszarze Polski od Wileńszczyzny poprzez Polesie aż do Wołynia,

istnieje około 30 parafij lub zarodków parafij tego obrządku oraz około 20.000 wiernych. Dowiedzieliśmy się, że ojciec Mikołaj Czarniecki jest mianowany biskupem in partibus, a równocześnie wizytatorem tego obrządku wschodnio-słowiańskiego na naszych obszarach wschodnich, z wyłączeniem Małopolski wschodniei, że ojciec Czarniecki należał do obrządku grecko-katolickiego, istniejącego w Małopolsce wschodniej i że dotychczas podlegał metropolicie Szeptyckiemu. Jest to więc przeniesienie obrządku grecko-katolickiego na te ziemie, na których tego obrządku dotychczas nie było.

Mówca zwraca uwagę, że w ten sposób zostało dokonane obejście ścisłych przepisów art. 9 i 18 naszego konkordatu. Mówcę obchodzi to zagadnienie ze względu na katolicyzm na Wschodzie, gdyż uważa, że naprawdę trwałe postępy katolicyzmu na tych ziemiach dokonane mogą być tylko przez obrządek rzymsko-katolicki. Przed rokiem jeszcze mówca zapytywał, czy istnieje u nas jakaś polityka państwa polskiego w sprawie zagadnienia katolicyzmu na wschodzie Polski. Zdarzenia obecne upoważniają go do zamiany tego pytania na twierdzenie, że w tej sprawie polityka naszego rządu nie przedstawia się pomyślnie. Są pewne względy, które sprawiają, że stosunki między Stolicą Apostolską a naszym rządem w obecnej chwili nie układają sią dobrze. Sprawa wykonania konkordatu ciągle nie jest rozwiązana w pełnym zakresie, a wiemy również, że istnieje groźba pewnego ukształtowania prawa małżeńskiego w łonie naszego rządu, budząca niepokój zarówno w episkopacie polskim, jak i w Stolicy Apostolskiej. Jeżeli jeszcze dodać pismo biskupów ruskich do Stolicy Apostolskiej, to trudno oprzeć się wrażeniu, że jakgdybyśmy biskupem Czarneckim płacili pewne rachunki, a to nie powinno mieć miejsca.

WALERJAN CHARKIEWICZ

CO MÓWIĄ BAZYLJANIE O AKCJI „WSCHODNICH" JEZUITÓW?

O szkodliwości akcji „wschodniej" pod względem politycznym mówiło się i pisało dość dużo (oto dowód szowinizmu polskiego!), o małej celowości pod względem „ratowania" zbłąkanych duszyczek również się mówiło (oto zacietrzewienie łacinników!), ale to były głosy polskie, a wskutek tego głosy bez znaczenia.... w Polsce przynajmniej.

Obrońcy „ucharakteryzowanych na Anglików" misjonarzy mają nito nieufność, nito wstręt do wszystkiego, co polskie, i wskutek tego triumfują gdyż, odrzucając głosy polskie i katolickie, mogą się nie liczyć z bardziej zdecydowanemi głosami prawosławnych.

Dlatego też nie zaszkodzi posłuchać, co mówią o pewnych posunięciach oo. jezuitów z Albertyna najwłaściwsi reprezentanci unji—oo. bazyljanie ze Lwowa.

W czasopiśmie bazyljańskiem p. t. „Analecta Ordinis S. Basilii Magni" t. III, zesz. 3—4, str. 757 znajdujemy taką ocenę „Molitwosłowa dla christian grieko-sławianskago obriada", wydanego w Albertynie w r. 1929.

Oto ścisły przekład tej recenzji. (Podkreślenia nasze):

„Zwyczajną ocenę tego modlitewnika można dać prędko i wyraźnie. Co do zewnętrznego wyglądu — książeczka wydana bardzo starannie i wykazuje wielki wkład pracy, tak, że może zadowolić nawet pobożnego, mającego wielkie wymagania. Natomiast co do treści i wewnętrznej formy, modlitewnik, zaczynając od samej nazwy: „dla chrześcijan grecko-słowiańskiego obrządku", *wprowadza tak widoczne, śmiałe i nigdzie wśród wschodnich katolików niepraktykowane zmiany i nowości*, że aż

się dziwnem wydaje, poco jeszcze dotychczas uczą we wszystkich szkołach katolickich o liturgice, o zakazie wprowadzania do nabożeństw jakichkolwiek bądź zmian bez specjalnego pozwolenia Stolicy Apostolskiej i t. p. Oczywiście, nie będziemy tu się wdawać w szczegóły, bo to nie nasza sprawa. Ale musimy choć słówkiem zaznaczyć inną kwestję, głębiej związaną z ukazaniem się albertyńskiego modlitewnika,—co do pewnego stopnia pozwoli wyjaśnić to śmiałe przerobienie liturgji, o którem jużeśmy napomknęli.

A więc—dlaczego i na jakiej podstawie dokonywa się jawne upodobnienie do form synodalnych—naszych nabożeństw i obrzędów, aprobowanych, świętych, tradycyjnych, uświęconych krwią wyznawców Unji? Robią to w danym wypadku członkowie poważnego zakonu—oo. jezuici wschodniego obrządku, którzy, jak się zdaje, aby nie zrywać z dawną jezuicką tradycją, poszli w ślady św. Franciszka Ksawerego, Ricci'ego, Schalla i in. Wiadomo jednak, że kurja rzymska wypowiedziała się wówczas przeciw o. o. jezuitom, a późniejsze apostołowanie dobitnie wykazało niewłaściwość systemu zakonu o. o. jezuitów.

Ale, rozważając dalej, musimy pamiętać, że te brutalne zmiany wprowadzają członkowie zakonu, którzy na tych właśnie ziemiach, na których pracują, byli niegdyś a i są jeszcze dziś prawie instyktownie nielubiani. *Trzeba się obawiać, aby stopniowo nie zbudziła się znów zemsta i nienawiść,* gdyż tyle o nich już się pisało i mówiło! Wreszcie: robią to ludzie, którym, podobno, nie można zarzucać złej woli, *ale czemuż ich robota ma w sobie cechy wyraźnej akcji rosyjskiej, albo ściślej: akcji carsko-rosyjskiej,* — która chce z prawosławnych Ukraińców i Białorusinów zrobić Rosjan—katolików wschodniego obrządku.

Jak ją traktują współcześni Polacy, rzecz ogólnie wiadoma, ale pamiętajmy, że ostateczne rozstrzygnięcie tej kwestji wypadnie ani po myśli albertyńskich o. o. jezuitów, ani podług naszych życzeń, zadecyduje o niej zbiorowa, polska dusza.

Wskutek tego modlitewnik dla chrześcijan grecko-słowiańskiego obrządku jest *nowinką bezcelową i niepotrzebnie irytującą.*

Czy potrzebne są komentarze do powyższych słów?

Głos bazyljanów w kwestji metod jezuickich jest szczególnie ważki, gdyż bazyljanie są w powszechnem mniemaniu „ukraińskimi jezuitami". Przed pięćdziesięciu laty jezuici przeprowadzili reformę zakonu bazyljanów, przez długie lata byli wychowawcami i kie-

rownikami bazyljanów: znają się więc wzajemnie bardzo dobrze.

Co zaś do głosu bazyljanów w kwestjach liturgicznych, jest on chyba bezapelacyjny.

Człowiek, choć trochę znający dzieje upadku unji kościelnej, nie może bez bólu i smutku patrzeć na dziwne metody kapłanów obrządku wschodniego.

Dziś powtarza się to, co się działo przed dziewięćdziesięciu laty; ale jakże zmieniły się pojęcia!...

To, co dawniej było uważane za cios w plecy Kościołowi, za zdradę wiary, za podstęp, dziś się niemal apoteozuje!

To, co wówczas było dowodem dojrzałości duchowej i głębokiej wiary, dziś się odrzuca z pogardą, jako wybryk szowinizmu, zacietrzewienia i ciasnoty myślowej...

Siemaszko rozpoczynał swą straszną robotę od wstydliwego przemilczania wyrazów: katolicki, katolik i t. p. w odniesieniu do Kościoła grecko-katolickiego. Mówiło się wówczas. „Cerkiew grecko-unicka", lub „Cerkiew zachodnio-rosyjska". Dziś... niema katolików obrządku wschodniego: są „prawosławni, uznający papieża", lub jeszcze lepiej: „chrześcijanie obrządku grecko-słowiańskiego"!

Co za niesłychana subtelność! Prawosławny więc, porzucający swe wyznanie, przestaje być wyznawcą Kościoła wschodniego, staje się wyznawcą—obrządku!.,. Przestaje być prawosławnym, staje się... chrześcijaninem, jakgdyby prawosławie było synonimem pogaństwa!

Siemaszko musiał stoczyć długą i uporczywą walkę, nim wprowadził do kościołów unickich mszały synodalne. Dziś to się robi z łatwością, któraby w zachwyt wprowadziła likwidatorów unji.

Siemaszko wreszcie zadał unji cios decydujący w chwili, gdy zewnętrznie upodobnił Kościół unicki do Cerkwi.

Dziś te metody mają świadczyć o triumfie „chrześcijaństwa w obrządku rosyjskim”...

Papież Grzegorz XVI w słynnej mowie na posiedzeniu Tajnego Konsystorza w dn. 22-XI 1839 r. wyrzekł m. in. te słowa o działaniu likwidatorów:

„Temi zaś drogami *niegodziwe* swe uskutecznili zamiary: naprzód mszały, od Rosjan — schizmatyków używane, do kościołów swego zarządu *podstępnie* wprowadzili, przez co zupełnie prawie w służby Bożej odprawianiu do ich się obyczaju zastosowali, aby przez tę *zdradę*, nieoświecone pospólstwo podobieństwem kościelnych obrzędów powodowane, nie chcąc nawet i nie wiedząc, tem łatwiej się na schizmę przewrócić dało”...

To, co zdaniem papieża Grzegorza XVI było podstępem i zdradą, dziś jest uważane za zbawienne metody misjonarskie...

Gdzież jest prawda? Czy też może istnieją dwie prawdy, wzajemnie się wykluczające?

X. BISKUP GRZEGORZ CHOMYSZYN

FRAGMENTY LISTU PASTERSKIEGO O BIZANTYNIŹMIE

W dzisiejszym moim liście pragnę zwrócić uwagę przedewszystkiem na to, jak działają namiętności, upozorowane fałszywemi doktrynami i zwodniczemi teorjami religijnemi. Zastraszający przykład mamy w działaniu kasty faryzeuszów ze Starego Testamentu. Faryzeusze byli uważani za gorliwych wyznawców, prawa Mojżeszowego, za znawców i strażników Pisma św.; ubrani zaś w togi nauczycieli, zdobyli w narodzie wielki wpływ i znaczenie. Jednak cała ich gorliwość polegała na zewnętrznej formie, na wynalezieniu różnych, w nieskończonej ilości, aż nie do wytrzymania, formalności obrzędowych i przytem lekceważyli oni wewnętrzne życie i doszli do tego, że prawdę własną postawili ponad prawdę Bożą... Nazewnątrz było przywiązanie do obrzędowych formalności, — aż do zabobonu,—wewnątrz była pustka, granicząca z utratą wiary.

*

...Duch bizantynizmu, dążąc do coraz większych wpływów, do coraz skuteczniejszego przyciągania i mamienia, a wskutek tego do coraz bardziej stanowczego odwrócenia uwagi od wewnętrznego doskonalenia się, przekształcił się w pewien system i nabrał kolorytu zasad doktrynerskich.

Zamiast życia z nadprzyrodzoną wiarą i łaską, jako główny cel działalności duchowej, wysunął formalności obrzędowe; wskutek czego pod tą zewnętrzną powłoką obrzędową wytworzyła się pustka i zgniły rozkład w całem życiu cerkiewno-religijnem...

*

...System bizantyński zniszczył wewnętrznie uduchowionego człowieka, wprowadził ducha świeckiego; nazewnątrz obwarował się jakby granitowym murem sztywnej i martwej obrzędowości i w ten sposób uniemożliwił nawrócenie się i zjednoczenie z macierzystym Kościołem katolickim.

*

Duch bizantyński zdeprawował cały Wschód, wywołując rozkład życia duchowego. Jednak sam nie zginął; przeniósł swe panowanie gdzie indziej, a mianowicie, do Rosji, gdzie jego panowanie doszło do pełnego rozkwitu. Tu cezaropapizm wykazał całą swoją władzę. Car rosyjski przywłaszczył sobie całkowitą, nieograniczoną władzę nad Cerkwią, stając się jej głową. Patrjarchat w Moskwie został zniesiony, natomiast zorganizowano, jako najwyższą instytucję cerkiewną—„Świątobliwy Synod", którego kierownikiem był świecki urzędnik, zwany ober-prokuratorem...

*

...Miara miłosierdzia i cierpliwości Bożej nad Rosją — wyczerpała się. Żadne państwo nie odczuło tak dotkliwie palca sprawiedliwości Bożej, jak Rosja. Rosja, coprawda, była kolosem, ale na glinianych nogach i dlatego tak haniebnie się rozsypała. Przedtem Rosja była postrachem Europy, po swoim zaś upadku postrachem nietylko Europy, ale i całego świata.

*

...I czemże jest bolszewizm?... Jest on najwyższym wykwitem do ostatniego cala posuniętym i do ostatecznej konsekwencji zrealizowanym bizantynizmem, zaszczepionym Rosji. Więcej: można powiedzieć, że bolszewizm jest ostatniem ogniwem łańcucha, którego pierwszem ogniwem była sekta faryzeuszy. W innej formie ta sama treść, pod inną nazwą—ten sam cel...

*

W tej części Polski, która niegdyś była pod zaborem rosyjskim, dla świeżo zjednoczonych z Kościołem katolickim ludzi został obecnie wprowadzony obrządek pod nazwą „wschodnio-słowiański", który również przyjęli jezuici w Albertynie, zajmujący się szerzeniem unji wśród tamtejszych schizmatyków. *Obrządek ten jednak jest tylko przechrzczonym obrządkiem synodalno-rosyjskim.* Wskutek tej nazwy został przeprowadzony kordon pomiędzy nami, tu w Galicji, a tamtymi wiernymi, bo powiadają, że w Galicji jest inny obrządek, gdyż „grecko-katolicki", tam zaś — „wschodnio-słowiański". W konkordacie państwo polskie również wyeliminowało hierarchję kościelną greckokatolicką od udziału w akcji, wszyscy więc wierni, nawróceni do Kościoła katolickiego, mają podlegać biskupom łacińskim.

Jednak sprawa ta nie posuwa się naprzód, bo to jest nienaturalne, jak wbrew naturze jest, gdy kura wysiedzi kaczęta, które zaczynają pływać po wodzie, kura zaś musi chodzić po brzegu.

Również się nie udaje nawracanie schizmatyków, gdyż, można powiedzieć żartem, nawróci się dwadzieścia pięć osób, odwróci się zaś trzydzieści!

*

Nie chcę bynajmniej posądzać zwolenników bizantynizmu, iż świadomie prowadzą oni do schizmy, ale twierdzę, że duch bizantynizmu zawsze kieruje do schizmy i kończy schizmą!...

*

...Ogół wiernych nie zna się na spekulatywnych subtelnościach dogmatycznych. Biorą oni sprawę ze strony praktycznej i gdy widzą ten sam zewnętrzny obrządek u siebie i u schizmatyków, to myślą, że to jest wszystko jedno. Ale gdy oni mają u siebie kato-

lickie nabożeństwa, których nie widzą u schizmatyków, to mimowoli powstaje u nich refleksja, iż to nie jest to same.

Właśnie praktyki katolickie sprawiły, iż nasi wierni na Podlasiu, Chełmszczyźnie, Wołyniu i Białorusi, będąc pod zaborem rosyjskim, cierpieli za katolicką wiarę, znosząc od Rosji katorgi, zesłania na Sybir, nahajki, a nawet w wielu wypadkach ponosząc śmierć męczeńską.

Dlatego też ja się bardzo zdziwiłem, a nawet się zgorszyłem, gdy z polskich kół duchownych dał się słyszeć głos, że nasz obrządek w Galicji jest to szkaradzeństwo („bezobrazje"), ale u tamtejszych, świeżo nawróconych wiernych obrządek „wschodnio-słowiański" jest naprawdę czysty. Niegdyś Polacy, a przedewszystkiem duchowieństwo polskie — posądzali nas o schizmofilstwo, narzekali, żeśmy nie przyjmowali nabożeństw katolickich i spoglądali na nas z pogardą, a gdy myśmy się zrośli z katolicyzmem i odprawiamy katolickie nabożeństwa, to z nas teraz się naśmiewają i nazywają nasz obrządek „bezobrazjem"!...

Jak to wytłumaczyć? Przecież św. Józefat, jasny męczennik jedności Kościołów, przypieczętował swą męczeńską śmiercią tę ideę razem z jej „bezobrazjem", my zaś staramy się naśladować go, wzmocnić się w katolicyźmie i stać się wiernymi katolikami! Jeszcze tak niedawno biskupi polscy zanieśli Ojcu św. jako relikwję, grudkę ziemi, na której żyli ci wierni, którzy ponieśli męczeńską śmierć właśnie za to „bezobrazje"...

I te polskie koła, które niegdyś nie mogły znieść ducha rosyjskiego, które nienawidziły obrzędowości rosyjskiej, dziś tę samą obrzędowość wprowadzają pod firmą „wschodnio - słowiańskiego" obrządku i jeszcze nim się popisują!...

Doprawdy wygląda to na komedję ze strony tych, którzy sprawy narodowe i polityczne stawiają wyżej, niż interesy wiary i religji!..

I poco ludziom mydlić oczy, poco wymyślać jakieś sztuczne nazwy obrzędów? Czemu nie nazwać rzeczy jej właściwem imieniem? Dlaczego jasno i otwarcie nie oświetlić katolickiej sprawy? Poco się trzymać taktyki Nikodema?

Chyba poto tylko, żeby dopomóc wszelkiego rodzaju Siemaszkom w łowieniu ryby w mętnej wodzie!...

*

O ile się orjentuję, zakon Jezuitów wziął w swe ręce bodaj całą inicjatywę nawrócenia niepołączonych z Kościołem narodów byłej carskiej Rosji. I ja pragnę jak najlepszego powodzenia. Bo któżby nie pragnął nawrócenia tych nieszczęśliwych narodów? Ale śmiem zwrócić uwagę, żeby zakon, zapatrzony wyłącznie w Rosję, nie przeoczył istnienia narodu ukraińskiego, albo nie traktował go pod kątem widzenia rosyjskiego nacjonalizmu, lub też nie przyczynił się chociażby w dobrej wierze, do wprowadzenia u nas synodalnego rosyjskiego obrządku pod nazwą „bizantyńsko-słowiańskiego", co mogłoby pociągnąć za sobą niepożądane następstwa dla sprawy Kościoła a dla samego Towarzystwa Jezusowego—wielkie przykrości.

Niech zakon T. J. przyjmie do swego sumienia te słowa, wypowiedziane z sumienia katolickiego Biskupa.

WALERJAN CHARKIEWICZ

ALBERTYN

Ukraińska „Nywa", organ metropolity Szeptyckiego, umieściła niedawno artykuł p. t. „Albertyn".

Artykuł o Albertynie zasługuje na baczną uwagę, jako pierwsza, obszerna informacja o działalności dość tajemniczych dla polskiego społeczeństwa wschodnich o. o. jezuitów.

Placówka albertyńska, jak stwierdza „Nywa" wyraźnie się rozrasta. Została ona założona w r. 1924 dzięki wybitnemu poparciu hr. W. Pusłowskiego, który ofiarował wschodnim misjonarzom ziemię, dom mieszkalny i zabudowania i otoczył akcję troskliwą opieką.

Pierwszym z pośród jezuitów obrządek wschodni przyjął Francuz Bourgeois, drugim był obecny Białorusin (przedtem — Polak) ks. Dąbrowski.

29-XI 1924 w kaplicy, urządzonej ściśle podług wzorów Cerkwi prawosławnej, odbyło się pierwsze nabożeństwo.

Od tego czasu zaszło w Albertynie niemało zmian i znacznie się zwiększyła ilość członków misji, na czele której stoi obecnie protoihumen (jeszcze tak niedawno ojciec — superior) ks. Piątkiewicz.

Dziś w Albertynie są już nie dwaj księża, lecz pięćdziesiąt pięć osób!... Oto prawdziwy postęp, zwiastujący bliski triumf idei zjednoczenia Kościołów... Bo każdy, kto tylko zestawi te dwie wymowne cyfry 2 i 55, pomyśli, że akcja unijna dała już świetne wyniki i że prawosławni nietylko masowo przechodzą na obrządek wschodni, ale i zasilają energicznie szeregi przyszłych kapłanów — krzewicieli unji...

„Nywa" jednak jest szczera i nie ukrywa przed

czytelnikami, iż pośród tych 55 osób, *tylko dwaj* klerycy są prawosławnymi z pochodzenia!...

Oto skład personalny misji albertyńskiej.

Księży—9—wyłącznie ex łacinnicy; w tem 8 jezuitów.

Braci 8; w tem ex-łacinników — 6, greko-katolików Ukraińców — 2.

Scholastyków starszych 7 — wszyscy ex-łacinnicy z seminarjów rzymsko-katolickich.

Scholastyków z nowicjatu albertyńskiego — 31, w tem ex-łacinników — 21, greko - katolików — 8, ex-prawosławnych — 2.

Czyli razem na 55 osób: ex-łacinników — 43, greko-katolików — 10 i ex-prawosławnych — 2.

Jeżeli chodzi o narodowość członków misji albertyńskiej, to są tam Polacy, Ukraińcy, Białorusini, Moskale (tak w oryginale), Czesi i Francuz.

Niestety, „Nywa" nie podaje ilości przedstawicieli poszczególnych narodowości.

Dla całego klasztoru odbywają się wykłady z zakresu historji i geografji Białorusi. I znowu: niestety, nie dowiadujemy się, kto właściwie z ojców jest znawcą dziejów Białorusi i z jakich źródeł czerpie on swą wiedzę?...

Przy stole, w klasztorze odczytuje się Pismo św. w języku cerkiewno-słowiańskim; inne teksty są w języku rosyjskim, albo białoruskim.

Klerycy w nowicjacie muszą wygłaszać kazania przed o. magistrem wyłącznie po rosyjsku lub po białorusku. Wyjątek się robi tylko na pewien czas, na początku i to tylko dla tych kleryków, którzy nie znają ani rosyjskiego, ani białoruskiego.

Dopóki więc nie opanują tych języków, mogą oni przez pewien czas posługiwać się mową ojczystą.

Jak stwierdza „Nywa", w Albertynie:

Rosyjska mowa aż zanadto jest uprzywilejowana...

X. ADAM ABRAMOWICZ

Z WRAŻEŃ ALBERTYŃSKICH

W Albertynie, posiadłości hr. Pusłowskiego, położonej o kilka kilometrów od Słonima, jak już powszechnie wiadomo, zamieszkali od kilkunastu lat ojcowie jezuici, którzy przyjąwszy obrządek wschodnio - słowiański (unicki), postawili sobie za ćel nawrócić z prawosławia na unję ludność miejscową. Takiemu szlachetnemu zadaniu jeno przyklasnąć i cieszyć się, jak cieszymy się, gdy ktoś poświęca się np. pracy misyjnej.

I albertyńskim ojcom trzeba byłoby przyklasnąć, gdyby nie pewne „ale". A to,—że praca ich misyjna idzie wielce powoli, prawie niedołężnie i następnie, że środki, w celu zrealizowania swych wzniosłych zadań, niezawsze są trafne.

Na kongresie eucharystycznym w Słonimie niemile uderzyło nietylko mnie, iż ojcowie z Albertyna noszą brody, jakgdyby woleli naśladować popów. Parochowie uniccy w Małopolsce, o ile sobie przypominam, nie noszą zarostu. Ale to jeszcze drobnostka. Przysłuchuję się rozmowie ojców z Albertyna i uszom swoim nie wierzę: rozmawiają między sobą po rosyjsku. Zdziwiony, zwracam się z tem do d-ra Teligi i innych panów i księży, którzy mi mówią, że ojcowie z Albertyna nietylko rozmawiają po rosyjsku, lecz co gorsze, mówią kazania po rosyjsku i tem pomagają popom rusyfikować i tak zrusyfikowany powiat słonimski.

I rodzi się mimowoli pytanie: cui bono—w jakim celu ojcowie z Albertyna to czynią? Przecież Słonimskie, to nie Rosja, ludność prawosławna nie jest ro-

syjska, lecz najwyżej białoruska, mówiąca „po prostemu”, t. zw. gwarą białoruską.

Ktoś z księży broni ojców z Albertyna i powiada, że mówią po rosyjsku, gdyż może przygotowują kadry przyszłych misjonarzy dla Rosji.

Ależ, przezacni ojcowie! Zostawcie tę troskę Ojcu świętemu, który już utworzył w Rzymie Instytut Wschodni dla Rosji, gdzie kształcą się na przyszłych apostołów Rosjanie rdzenni, nawróceni ze schizmy.

Tymczasem wpatrzeni, jak w daleki miraż—w Rosję, nie widzicie, że tu, na miejscu, żniwo olbrzymie, a jeno pracowników brak i że stanowimy my, katolicy, tu w Słonimszczyźnie, niby wysepkę pośród morza prawosławia.

A może dlatego i praca wasza misyjna idzie jak po grudzie, iż nie głosicie nauk unitom w zrozumiałej gwarze białoruskiej, iż misjonarze wasi uniccy nie są z krwi i kości tego ludu, gdyż i to jest ważne.

Piszącemu te słowa Bóg tak dał, iż w przeciągu roku 1907 i 1908 nawrócił w parafji dereczyńskiej przeszło 850 dusz ze schizmy do katolicyzmu. I czem? Poprostu tłumacząc prawosławnym, często po białorusku, iż oni nie przyjmują czegoś nowego, lecz tylko wracają do wiary takiej, w jakiej byli ich dziadowie i pradziadowie.

Jestem w posiadaniu listu pasterskiego biskupa unickiego Bułhaka, pisanego do parochów swojej brzesko-łuckiej diecezji. Jakże piękną polszczyzną pisany! Z tego wniosok, że dawni pasterze uniccy bynajmiej nie stronili od polskości.

Nawrót do dawnych, przepięknych tradycyj unickich, zbliżenie się bezpośrednie z ludem prawosławnym, mówienie i głoszenie nauk w gwarze białoruskiej i samozaparcie się, zapewni nietylko realne skutki pracy waszej apostolskiej, dostojni ojcowie, lecz i zaskarbi wam moc zasług u Boga i u ludzi.

DLA PIĘCIU OSÓB

W „Życiu Nowogródzkiem" spotykamy opis wizytacji biskupa wschodniego obrządku Mikołaja Czarneckiego w Słonimskiem. Mowa tam jest o języku białoruskim, którym ciągle się duchowni wschodniego obrządku posługują (według naszych informacyj przeważnie jednak mówią po rosyjsku), mowa o tysiącu osób, które rzekomo spotykały biskupa w Synkowiczach. Opis ten utrzymany jest w tonie informacyjnym — jednak dziwi nas, że tak dobrze zorjentowana w stosunkach nowogródzkich gazeta, jak „Życie Nowogródzkie" zamieściła ten opis, najwidoczniej przez kogoś podesłany, bez uwag redakcyjnych, które się przecież odrazu nasuwają.

Na Chełmszczyźnie używają misjonarze wschodniego obrządku języków rosyjskiego i ukraińskiego, w Słonimskiem języków rosyjskiego i białoruskiego. Zdaje się, że istnieje pewne wahanie wśród tych, którzy tą akcją kierują na naszym terenie, czy używać więcej języka rosyjskiego, czy też białoruskiego. Z punktu widzenia polskiej racji stanu jest to dość obojętne. Zawsze będzie bardzo szkodliwe. Jeżeli język rosyjski — to będziemy mieli zupełnie niepotrzebną i szkodliwą organizację rusyfikacyjną na naszych pograniczach. Jeżeli białoruski, to dopiero ten obrządek wschodni stanie się organizacją separatyzmu białoruskiego, czemś w rodzaju narodowego kościoła. Przykład grecko-unickiego obrządku w Galicji Wschodniej jest tu wielomówny.

Zresztą na łamach „Słowa" dość często była podkreślana polityczna szkodliwość dla polskiej racji stanu nowego obrządku,— aby te argumenty przypo-

minać. Dzisiaj chcielibyśmy podkreślić momenty psychologiczno-religijne.

Muzea bezbożnickie w SSSR specjalnie lubują się w układaniu w jednej witrynie przedmiotów liturgicznych różnych wyznań. Cieszy ich, gdy mogą ustawić „posochy" prawosławne obok pastorałów katolickich, „kamiławki" prawosławne obok beretów katolickich i t. d. Oglądający te muzea człowiek wierzący doznaje uczucia przygnębienia. Widzi te szatańskie naigrywania się nad przedmiotami, które od dzieciństwa uważał za uświęcone. W ten sposób bolszewicy wykazują swą wzgardę dla przedmiotów kultu.

Kościół synkowicki posiada trzy nawy. Nad drzwiami ma przekreślony krzyż prawosławny. Dwie nawy są oddane obrządkowi wschodniemu, jedna nawa obrządkowi łacińskiemu. Ludzie, modlący się na mszy św. łacińskiej katolickiej, z lewej swojej strony widzą „carskie wrota", napis na nich w liturgicznym cerkiewno - słowiańskim języku, w napisie tym wyraz „cerkow" wyróżnia się specjalnie, widzą „anałoj" i djaka i popa. Patrzą na swój ołtarz, na swego księdza i widzą, że ksiądz ten odprawia nabożeństwo w jednej z naw cerkwi.

Doprawdy nie rozumiem, jakiemi względami się rządzą założyciele nowego obrządku. Zdawało się, że przejmując liturgję św. Chryzostoma (jak się wyraża ks. biskup d'Herbigny) podług wzorów rosyjskich, synodalnych, wychodzili oni z założenia, że lud nasz religji prawosławnej jest tak do swoich obrzędów, swojej prawosławnej liturgji przywiązany, że raczej gotów jest wyrzec się odrębności dogmatu, raczej gotów jest zmienić religję niż liturgję. W ten sposób organizowanie nowego obrządku oparte było jeśli nie na przesadnem, to w każdym razie na bardzo poważnem znaczeniu, które przypisywano przywiązaniu i sentymentowi do liturgji.

Ale w takim razie cóż znaczy to pomieszanie dwóch obrządków w jednym kościele? Katolicy, modlący się na mszy, patrzą na o. Wysokińskiego, który wygląda, jak ktoś powiedział, „wsiech popow popieje", w riasie i obrośnięty brodą i długiemi włosami w ten sposób, jak było to dawniej we zwyczaju u duchowieństwa prawosławnego, co jednak powoli wychodzi z użycia. Pomieszanie dwóch obrządków w jednej świątyni ma chyba oznaczać odwrotne, do poprzednio sformułowanego, założenie propagandystyczne nowego obrządku. Wskazywałoby raczej, że nowy obrządek chce wpoić ludziom przekonanie, że liturgja nie odegrywa większego znaczenia, że dogmaty religijne są wszystkiem.

Oczywiście to założenie jest słuszne i logiczne, ale czy demonstrowanie *małego znaczenia liturgji* jest na czasie, gdy z tamtej strony kordonu padają na nas cienie *wyśmiewania się wogóle z liturgji.*

Doprawdy boję się być źle zrozumianym, lecz uważam akcję nowego obrządku nietylko za ujemną ze względów polskich narodowych i państwowych, nietylko za ujemną dla Kościoła katolickiego, lecz kryjącą w sobie pewne niebezpieczeństwa dla religijności naszego ludu wogóle.

Byłem przez chwilę na nabożeństwie nowego obrządku w Synkowiczach w niedzielę 19-VII 1931 r. Zastałem na tym nabożeństwie wyraźnie: *pięć osób*, w tem jednego staruszka, który uprzednio modlił się podczas mszy katolickiej. Doprawdy te *pięć osób* to zbyt mała cyfra, aby dla niej narażać ludzi na tak przykre dla każdego pomieszanie dwóch kościołów w jednym.

Ale za to obok w Albertynie w ogromnym gmachu wychowuje się *40 alumnów* nowego obrządku. W jakim języku będą przemawiać do naszego ludu— po rosyjsku, czy po białorusku?

SZYMON MEYSZTOWICZ

JESZCZE O UNJI

Czem jest unja?

Ustępstwem co do formy; formy wschodniej zachowaniem, w złudnej nadziei, że się ją zapełni nową treścią zachodnią.

W powojennem masowem szaleństwie, które się objawia we wszystkich narodach, a które w narodzie naszym znalazło swój wyraz w pokoju ryskim, w ograniczaniu akcji Żeligowskiego, w pogodzeniu się z istnieniem dziwoląga, jakim jest statut t. zw. Wolnego Miasta Gdańska, i tylu, tylu innych, o przekleństwo potomności wołających czynów i zaniedbań, akcja unijna, w Polsce zrodzona, należy do objawów patologicznych najgroźniejszych.

Demokracja współczesna—to lekceważenie formy, dążenie do jej zaniku.

Bolszewizm—to formy zanik zupełny.

Lecz poszanowanie formy — to właściwość narodów, które w swoim rozwoju czerpały soki z rzymskich tradycyj, które wychowały się na wzorach łacińskich. Stąd wychowanie klasyczne solą jest w oku wszystkich stronnictw skrajnych.

W dążeniu swem do powiększenia liczby wiernych, do przesunięcia na wschód swych dogmatów i prawd, Kościół rzymski dziś, jak niegdyś, wyraża gotowość ustępstwa co do formy.

Czy nie jest to groźnym dla osiągnięcia celu wyborem kierunku najmniejszego oporu?

Wszak z dwojga jedno: albo ludność prawosławna, którą akcja ta ma na celu, tak dalece przywiązana jest do wschodnich form swego wyznania, że jego

błędów wyrzec się nie chce inaczej, jak tylko pod warunkiem zachowania starej formy; w takim razie przyjęcie unji będzie powierzchowne i nietrwałe: lada nowy prąd, lada zorganizowana akcja całą tę robotę wniwecz obróci, a nowi adepci maskowanego pod wschodnią formą katolicyzmu do starej schizmy przy pierwszej wrócą sposobności, jak to już miało miejsce za Siemaszki i dziś się odbywa na ziemi Czerwieńskiej;—

albo przyjęcie katolicyzmu wyniknie z duchowej i psychicznej potrzeby, z przekonania religijnego, lub z ukształtowania się psychiki jednostek na modłę zachodnią; w tym ostatnim wypadku forma wschodnia przeszkodą raczej będzie, niż bodźcem. Przekonana o prawdach katolickich jednostka, zmieniając wyznania a z niem i metodę myślenia, przy starej formie zostać nie zechce: zmieni szaty.

Rozrost unji, rozszerzenie wpływów katolicyzmu wschodniego obrządku, pociągnąć *musi* wolne, lecz stałe przechodzenie na nią jednostek z wyznania i narodowości, należących do rzymskiego katolickiego Kościoła, który w naszej Ojczyźnie utożsamia się z pojęciem polskości.

Niebezpieczeństwo, stąd wynikające dla Kościoła i Narodu, jest oczywiste. Poprzez unję katolicy rzymscy z biegiem czasu, przy lada okazji przejdą na prawosławie; Polacy poprzez unję i Cerkiew, ulegną zruszczeniu.

Kościół i naród, jak to już miało miejsce, miljony stracą swych synów i stracą ich bezpowrotnie!

Zagadnienie katolickiej akcji na Wschodzie jedno ma jeszcze oblicze, dotąd bodaj nie poruszone przez nikogo.

Oto katastrofa narodu rosyjskiego, katastrofą jest jednocześnie prawosławia, w tej jego części conajmniej, która doszła do zupełnego absurdu, w której

cezaropapizm panował niepodzielnie, a z nim do szczytu doszła kazuistyka, a forma zgoła zatraciła treść.

Jeżelibyśmy się ośmielili ludzkim umysłem naszym dociekać treści tego Bożego dopustu, jakim jest bolszewizm, i jego celu, doszlibyśmy prawdopodobnie do przekonania, że katastrofa ta, logicznym jest wprawdzie skutkiem dziejów, lecz że jednocześnie jedyną jest przez Opatrzność wybraną drogą, prowadzącą do przejścia Wschodu na łono prawdziwego rzymskiego Kościoła. Przejście to bowiem, bez zupełnego zaniku prawosławia, w jego rosyjskiej przynajmniej postaci, nie dałoby się wogóle pomyśleć ani wyobrazić.

Lecz procesy duchowe odbywają się wolno. Jedno zniesienie niewolnictwa stuletniego prawie wymagało okresu, by dojrzeć w zupełności i zapanować.

Cóż dopiero mówić o czasie, potrzebnym dla przeobrażenia się pojęć religijnych i podstaw duchowych wielkiego narodu?

W ludzkiem dążeniu do przyśpieszenia tego zarysuwującego się procesu Rzym chce robić koncesje formalne.

Psychiczne procesy u ludzi, z ziemską swą powłoką tak ściśle związanych, podobne są bardzo do procesów dojrzewania w przyrodzie.

Sztuczne przyśpieszenie dojrzewania owocu daje rezultat efektowny, lecz nietrwały. Owoc prędko ulega zepsuciu. Przyśpieszanie ręką ludzką procesu dojrzewania Wschodu do treści i formy Zachodu przyniesie niezawodnie te same skutki, co przyśpieszanie dojrzewania fizjologicznego. Owoc może być efektowny, lecz trwałym nie będzie. Rzymski katolicyzm przez wyrzecenie się formy straci tu, u nas, swą treść. Owoc zgnije, zarażając swem gniciem całe otoczenie. Cel ostateczny przez to odwlecze się na wieki.

Dla nas, narodu polskiego, współpraca w tej robocie równałaby się samobójstwu.

Cała wartość naszego istnienia, cały wyższy cel naszego zmartwychpowstania, wszystko, co się składa na treść naszego bytu, zniknąćby musiało fatalnie.

Jak Unja Brzeska pozbawiła nas niegdyś treści naszego na wschód dążenia i przyczyniła się przez to do naszego upadku, tak unja współczesna pozbawi nas tego, na co nas Opatrzność z upadku podniosła.

Bastjonem winniśmy być wypadowym rzymskich podwalin bytu narodów, a nie objektem doświadczeń językowo-wyznaniowych, zrodzonych w mylnej, a szkodliwej nadziei przyśpieszenia dokonania się widoków Opatrzności przez skierowanie roboty na drogę najmniejszego oporu.

Wielkie rzeczy rodzą się w bólu i walce. Przyjęcie unji przez część prawosławnej ludności z pominięciem drogi wewnętrznego dojrzewania tej zmiany, od ostatecznego celu raczej oddali niż doń zbliży,

Polska racja stanu podobnej robocie powinna przeszkodzić. Nie potośmy z upadku dźwignięci Cudem, by w letnim kompromisie złudnego używać błogostanu. Praca nad przygotowaniem zwycięskiego na wschód pochodu rzymskiego Kościoła winna polegać na wzmacnianiu w naszym narodzie duchowego życia, nad skupianiem wysiłków ku podniesieniu katolickich zasad i rzymsko-katolickich form i treści.

Zwycięstwo Kościoła na Wschodzie wtedy za sobą pociągnie i podniesie znaczenie naszego Narodu i Państwa, które na tej jedynie drodze wykonać mogą odwieczne swe przeznaczenie.

10. XII. 31.

WIELKA DYSKUSJA UNIJNA W „SŁOWIE"

Wykaz artykułów, drukowanych w „Słowie", do dnia 20-XI 1931 r. włącznie, na temat obrządku wschodniego oraz stosunku Kościoła katolickiego do Cerkwi prawosławnej.

(Cyfry w nawiasach wskazują na której stronicy obecnej broszury znajduje się wymieniony artykuł. Litery zaznaczają stosunek obecnie drukowanych artykułów do pierwowzoru: E= in extenso, Z=zmiany w tekście, S=skróty w tekście).

1. Nr. 281—2-XII 1926 r. *Lubicz* [*Wiktor Piotrowicz*]: „Chrześcijanie wszystkich krajów łączcie się!" (—).
2. Nr. 166—23-VII 1929 r. *Romunt* [*Roman Skirmuntt*]: „Zawiłe zagadnienie" (5-E).
3. Nr. 100—1-V 1930 r. *J. K-cki:* „Nieoczekiwana kropka nad niewyraźnem „i" (22-S).
4. Nr. 105—8-V 1930 r. *X. Jan Urban T. J.*: „O akcję unijną na wschodzie Polski" (—).
5. Nr. 107—10-V 1930 r. *X. Jan Urban T. J.*: „O akcję unijną na wschodzie Polski" (—).
6. Nr. 107—10-V 1930 r. *Cat* [*Stanisław Mackiewicz*]: „Nowy obrządek a polska racja stanu" (28-S).
7. Nr. 113—17-V 1930 r. *X. Edward Ropp* Arcybiskup Mohylewski: „List do Redakcji" (—).
8. Nr. 154—9-VII 1930 r. *W*[*alerjan*] *Ch*[*arkiewicz*]: „Wobec nowych nieznanych dróg". I. Cerkiew a Kościół (33-S).
9. Nr. 155—10-VII 1930 r. *W. Ch.*: „Wobec nowych nieznanych dróg". II. Cerkiew a Unja (38-E).
10. Nr. 157—12-VII 1930 r. *W. Ch.*: „Wobec nowych nieznanych dróg". III. Obrządek wschodni (43-E).
11. Nr. 159—15-VII 1930 r. *W. Ch.*: „Wobec nowych nieznanych dróg". IV. Ucharakteryzowani na Anglików (48-S).
12. Nr. 161—17-VII 1930 r. *W. Ch.*: „Wobec nowych nieznanych dróg". V. My i oni (54-S).
13. Nr. 173—6-VIII 1930 r. *X. Jan Urban T. J.*: „Odpowiedź" (—).
14. Nr. 179—7-VIII 1930 r. *W. Ch.*: „Grunt się nie przejmować" (—).
15. Nr. 180—8-VIII 1930 r. *Cat:* „Pogląd ks. Urbana i nasze kontrargumenty" (—).

16. Nr. 184—13-VIII 1930 r. *X. Jan Urban T. J.:* „Prawosławie i polskość kraju (—).
17. Nr. 185—14-VIII 1930 r. *Jan Ochota:* „Na marginesie artykułu x. Urbana" (—).
18. Nr. 186—15-VIII 1930 r. *X. W[alerjan] M[eysztowicz]:* „Sprawy unji kościelnej" (60-S).
19. Nr. 216 - 20-IX 1930 r. *Romunt:* „Zagadnienie zawiłe i drażliwe" (18-S).
20. Nr. 218 — 23-IX 1930 r. *Romunt:* „Mówmy wyraźnie"... (17-Z).
21. Nr. 281—6-XII 1930 r. *W. Ch.:* „Opinja katolicka, czyli polskość na indeksie" (—).
22. Nr. 282—7-XII 1930 r. *O. Witali Żeleźniakowicz:* „Na marginesie dyskusji unijnej". (Audiatur et altera pars) (65-S).
23. Nr. 285—12-XII 1930 r. *X. Edward Ropp*, Arcyb. Mohyl. „List do Redakcji" (70-E).
24. Nr. 286—13-XII 1930 r. *W. Ch.:* „Alarm bez echa". (Wciąż na tematy unijne) (72-S).
25. Nr. 7—10-I 1931 r. *Mikołaj Gołubiew:* „W sprawie pojednania kościołów" (76-S).
26. Nr. 11—15-I 1931 r. *X. Józef Marcinowski:* „W sprawie jedności kościoła" (79-S).
27. Nr. 24—30-I 1931 r. *Cat:* „Czy Ukrainiec?" (—).
28. Nr. 26—1-II 1931 r. „Co to wszystko znaczy? (—).
29. Nr. 31—8-II 1931 r. *O. Antoni Dąbrowski T. J.:* „Jeszcze na marginesie dyskusji unijnej" (81-E).
30. Nr. 40—19-II 1931 r. *Wołyniak:* „Nowy biskup w Polsce", „Czy Ukrainiec?" (—).
31. Nr. 42—21-II 1931 r. „Przemówienia posłów *Stanisława Mackiewicza* oraz *Stanisława Strońskiego* na posiedzeniu sejmowej komisji spraw zagranicznych" (Sprawa obrządku wschodniego) (85-S).
32. Nr. 51—4-III 1931 r. *W. Ch.:* „Co mówią bazyljanie o akcji „wschodnich" jezuitów?" (89-S).
33. Nr. 86—16-IV 1931 r. *W. Ch.* „Konferencja pińska" (—).
34. Nr. 89—19-IV 1931 r. *W. Ch.:* „Medycyna i strategja Józefa Siemaszki" (—).
35. Nr. 98—30-IV 1931 r. „Zagadnienie unji Rzymu ze Wschodem" (—).
36. Nr. 101—3-V 1931 r. *W. Ch.:* „Pierwszy rok dyskusji unijnej" (—).
37. Nr. 107—10-V 1931 r. *W. Ch.:* „My — gorszący się „maluczcy" (—).
38. Nr. 109—13-V 1931 r. *W. Ch.:* „Albertyn" (98-S).
39. Nr. 117—23-V 1931 r.: „Głos księdza biskupa *Grzegorza Chomyszyna*" (93-E).

40. Nr. 118—24-V 1931 r. *X. Józef Marcinowski:* „Piszmy o unji spokojniej” (—).
41. Nr. 132—12-VI 1931 r. *W. Ch.:* „Jedyny środek ratunku dla całego świata — jest to hasło: „Chrześcijanie wszystkich wyznań łączcie się” (—).
42. Nr. 134—14-VI 1931 r. *W. Ch.:* „Ostra Brama (—).
43. Nr. 134—14-VI 1931 r, *Witali Żeleźniakowicz:* „Jeszcze na marginesie dyskusji unijnej” (—).
44. Nr. 145—27-VI 1931 r. *W. Ch.:* „Druga konferencja pińska” (—).
45. Nr. 159—15-VII 1931 r. *W. Ch.:* „Nostra culpa” (—).
46. Nr. 162—18-VII 1931 r.: „Archijerej Eulogjusz zmartwychwstały na Chełmszczyźnie” (—).
47. Nr. 168—25-VII 1931 r. *Cat:* „Dla pięciu osób” (102-S).
48. Nr. 172—30-VII 1831 r. *W. Ch.:* „O obrządku wschodnim” (—).
49. Nr. 174—1-VIII 1931 r. *W. Ch.:* „Spór o szaty liturgiczne i ubiór księży obrządku wschodniego” (—).
50. Nr. 178—6-VIII 1931 r. *W. Ch.:* „Siemaszko—Benefaktow—Vox” (—).
51. Nr. 179—7-VIII 1931 r. *W. Ch.:* „Idźmy wgórę, — nie wdół” (—).
52. Nr. 180—8-VIII 1931 r. *W. Ch.:* „Co nas różni?” (—).
53. Nr. 189—20-VIII 1931 r. *Władysław Studnicki:* „Prasa endecka nie pisnęła ani słowa” (—).
54. Nr. 196—28-VIII 1931 r.: „Głos J. E. Ks. Arcyb. *Edwarda bar. Roppa* w sprawie obrządku wschodniego” (—).
55. Nr. 197—29-VIII 1931 r. *Władysław Studnicki:* „Do wczorajszego artykułu J. E. Ks. Arcyb. E. Roppa” (—).
56. Nr. 202—4-IX 1931 r. *Edward Ropp*, Arcybiskup Mohylewski: „List do Redakcji” (—).
57. Nr. 205—8-IX 1931 r. „Konferencja unijna w Pińsku” (—).
58. Nr. 231—8-X 1931 r. *Lektor:* „Silva rerum” (Ks. Kanonik Adam Abramowicz o stosunkach w Albertynie) (100-S).
59. Nr. 239—17-X 1931 r.: „Tajne konferencje wysłannika Watykanu z metropolitą Szeptyckim” (—).
60. Nr. 240—18-X 1931 r. *W. Ch.:* „Echa II Konferencji Pińskiej” (—).
61. Nr. 243—22-X 1931 r. *W. Ch.:* „Uchwały II Konferencji Pińskiej” (—).
62. Nr. 253—3-XI 1931 r. *Szymon Meysztowicz:* „Jeszcze o unji” (105-S).

SPIS RZECZY: